№ 4 Warszawa, dnia 12 (24) Stycznia roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

WERCYNGETORIX.

nowy dramat Henryka Martin.

(Dokończenie).

Pomiędzy trzecim a czwartym aktem, wielkie zaszły wypadki. Wercyngetorix zgromił ogromne siły Gallów, w walnej bitwie pokonał niezwyciężonego dotąd Cezara, odparł legiony od warownych murów Zergowii. Rzecz odbywa się na dolinie, pod grodem; w głębi wzgórze zasłane trupami. Walka niezupełnie skończona. Oddział centuryonów ciśnie się w popłochu; po chwili wjeżdża konno Cezar, zsiada z konia, z założonemi rękoma i pochyloną głową kroczy pomału na przód sceny i mówi z głęboko boleścią:

Tak, Anibal przed nami pojawił się nowy!
Jam go przeczuł!...

Po raz pierwszy Cezar zwątpił o losach swoich. Wyparty z obozu, zdobył się na krok rozpaczliwy; wezwał w pomoc hordy dzikich Germanów; nadciągną tu z Labienusem, byle tylko na czas przybyli.

W tem goniec galski z rószczką zieloną w ręku, staje przed obliczem wodza. To stary Bard Klewor: przysłał go Wercyngetorix; on sam pragnie znieść się z Cezarem.

Wzrok Cezara zaświecił błyskawicą: grom wzbiera mu na czole; zacisnął jednak usta, powściągnął się, ukrył gniew w tajnikach piersi własnej.

— Niech przyjdzie... rzecze zimno.

Zagrzmiały trąby. Legioniści przybiegają na scenę, stają do szeregu, z drugiej strony Gallowie wchodzą tłumnie, z głośnym okrzykiem pokrywają poblizkie wzgórza. Za nimi pojawia się Wercyngetorix; daje znak, nakazuje ustąpić im wgłąb sceny. Na znak Cezara odstępują Rzymianie.

Dwaj zapaśnicy spotykają się oko w oko. To piastuny dwóch idei, przedstawiciele dwóch kierunków dziejowych. Na ostrzu ich mieczów zawieszone losy świata.

Pyszna ta scena prawdziwem jest arcydziełem:

— Mów pierwszy Celtilu! rzecze Cezar:

Twa przewaga nade mną daje ci to prawo.
Mów!...

Wercyngetorix.

Cezarze posłuchaj z ust mych słów pokoju,
Nie była na nie pora, póki w krwawym boju
Parła Belga z Helwetą moc twa niezwalczona,
Póki kark wolny gięły celtyckie plemiona
Ujarzmione twym mieczem...
Olbrzymie twe ramię
Choć twardego oporu mych ludów nie złamie,
Nie mniejszy z twego czoła rzuca promień chwały.
Przed blaskiem twoich czynów, świat korzy się cały,
Przebrnąłeś Alpy zimą, przez śnieżne zakopy,
Przez przepaście nietknięte śladem ludzkiej stopy,
Twe orły z gór jak burza spadły w kraj szeroki,
Jednym tchem wód spienione przebrnąłeś potoki,
Nasze grody skruszone twą silną prawicą
Szły w gruzy!... O zaprawdę, wieki się poszczycą,
Że wydały Cezara! Lecz wodzu w tej dobie,
Lud, olbrzymi zapaśnik, wystąpił wbrew tobie,
Z tej iskry co przetrwała w głębi jego ducha,
Płomień życia i chwały silnie dziś wybucha.
To, o co się Druidów zabiegi skruszyły,
Wykonał Cezar mieczem, on wskrzesił w nim siły,
Lud sprzężon świętym węzłem, dziś w wolności [imię,
Jednego zapaśnika widzi tylko w Rzymie,
By z kraju nienawistne wypłoszyć Rzymiany,
Z płomieniem puszcza grody i kłosiste łany,
Tak, Gallowie dziś wielcy, przyznaj sam Cezarze!

Cezar.

Nie! jeden Gal jest wielkim na całym obszarze
Tej ziemi! Tak Celtilu, z tobą siła nowa,
Wstąpiła w lud twój stopą zwycięzcy zdeptany,
Niszczysz jednym zamachem, rozległe me plany,
Twe ramię niedobitków w dzielny zastęp sprzęga,
Groźna pod tchnieniem twojem wyrasta potęga,
Ty sam, przeznaczeń Gallów trzymasz w ręku szalę!

I czegóż żąda Celtil? On siłą geniuszu, dojrzał za wieków pomrokiem, owe dzikie drużyny Wandalów i Longobardów, które z dzikszemi jeszcze hordami Attyli, rzucą się na Rzym, zaleją Gallią, skruszą taranem pomniki dawnej cywilizacyi, zgaszą we krwi potokach ognisko co przyświecało światu. Gorąco młody Gal przemawia do Cezara, przypomina wspólną niegdyś na wschodzie kolebkę ludów aryjskich, z której wybiegły na świat dwa rojowiska bratnie po krwi i duchu: Gallowie i Latyni.

Różni obyczajem,
Różni wiarą i mową, lecz bratani wzajem
Ogniwem starych podań i węzłem krwi bliskiej,
Wyniańczeni pospołu wśród jednej kołyski
Złączmy się w jednym celu! Przy wspólnej pomocy
Idźmy od Alp, od Renu, ku krańcom północy.
Z tych stropów barbarzyński powiew na świat zionie,
Obie nasze ojczyzny powódź ta pochłonie,
Gdy w działaniach bratniemi rozdzieleni spory,
Wylewom dzicz północnych nie stawim zapory:
To dzieło godne ciebie!... tak, wielki Cezarze.
Ja wierny sprzymierzeniec pójdę z tobą w parze,
Będę żołnierzem twoim... północ nas przygniata,
Zostaw Gallów wolnymi, a bądź zbawcą świata.

Inaczej Cezar zrozumiał posłannictwo swoje. Rzym musi zagarnąć wszystkie ludy: w ognisku cywilizacyi swojej musi stopić je razem i zlać w jeden spiż wieczno-trwały. Gallia stanęła mu kamieniem na drodze do przyszłości, on skruszy tę zaporę. Myśl tę wyraża jasno:

Gallia się odrodzi,
Lecz wprzód skonać powinna. Tak, Rzym ją po-[chłonie,
Rzym, który sto narodów piastuje w swem łonie.
Wam pierwsze po Latynach miejsce w nim należy,
Wszystko wszystkim otworzym... u Tybru wybrzeży
Wnet zasiędą do rady w senatorskiej todze,
Z puszczonym na wiatr włosem dzielni Gallów wo-[dze.
Aż zadrgnie stare Forum... O! wielka to chwila.
Niedawno ja tron Gallów miałem dla Celtila,
Lecz wspanialszy mu zaszczyt za berło dziś stanie,
Obywatelem Rzymu bądź zacny młodzianie!
Niech Gal zamrze dziś w tobie, a świat ci otworzę,
Będziesz synem Cezara... i następcą może!

Wercyngetorix.

My przedzierzgnąć się w Rzymian!
(wskazując niebo)
Tam ojcowie starzy,
Odtrąciliby synów!

W tej chwili przybywa goniec: wręcza Cezarowi pismo Labienusa. Jutro o wschodzie słońca nadciągnie z Germanami.

Odczytał pismo Cezar, podnosi w górę czoło, z dumą rzecze do siebie.

Ha! jeszcze gwiazda moja nie straciła błysku,
Poruszyłem ohydne gady w trzęsawisku,
Niech po mnie ślepe losy wydźwigną Rzym z toni,
Dziś Cezar przyszłość świata trzyma jeszcze [w dłoni!

Pewien zwycięztwa, na inny ton odzywa się do wodza Gallów, błyska mu w oczy niechybnym tryumfem swej idei:

......Jeźli jutro w proch zmienię się cały,
Ten proch jeszcze prze- wiek. zap..nuje świata,
Spłynie z czoła mojego, i czas go nie schłonie,
Zostawiam imię światu, i na wieków łonie,
Przed blaskiem jego ludzkość upadnie olśniona,
I to imię plemionom przekażą plemiona.
W miejsce twych starych bogów ja sam będę bo-[giem.

Wbrew idei cezarymu, Wercyngetorix stawia inną i on posiewa ziarno dla przyszłości; to ziarno innym kiedyś wybuja kłosem.

Miecz w mej dłoni czystej!
Choć mnie przywalą gruzy mej ziemi ojczystej,
Imię moje zasłynie w przyszłości dalekiej,
Z miłością ludu wiekom przekażą je wieki.

Cezar.

Lud, tłuszcza ta bezmyślna, wszak na Grachów [głowy
Spadło jego przekleństwo... lud bluźnić gotowy
Tym, którzy go miłują, czcić tych, co zuchwale
Depczą po jego karku... Jutro twoi Galle
Przepomną cię żeś istniał, gotowi bez sromu
Wznieść mi ołtarz na zgliszczach twego niegdyś [domu,
Kędy grzmotem oklasków witano cię wczora!
Ziemia moja...

Wercyngetorix.

Niech ziemia spadnie ci na oczy!
Dla mnie światy bez granic, i wieki bez końca!
Gdzie prawda nieśmiertelnym świeci blaskiem [słońca;
Zatrą wieki na zawsze twej przemocy ślady,
Tę ziemię którą wolne dzierżyły naddziady,
Wywalczą syny mieczem, oni w późne czasy
Z twym rodem będą staczać olbrzymie zapasy,
Aż synów prochu zwalczy nieśmiertelnych plemię.

Cezar.

Synowi ziemi przystało odziedziczyć ziemię.

Wercyngetorix.

Zwycięztwo temu czoło promieniem otoczy,
Kto z uśmiechem na ustach patrzy śmierci w oczy.

Cezar.

Kto chce żyć i zwyciężyć, temu losy starczą.

Wercyngetorix.

Niech żelazo rozstrzyga...

Cezar.

Pod fortuny tarczą,
Jam pe..ry.

Wercyngetorix.

Bóg naddziadów drogę mi ukaże.
(zwracając się ku Galskim wodzom)
Do klanów! niech grzmią hasła, czekam cię Cezarze!

Cezar.

Pomnij losy Iugurty o Gallu zuchwały.

Wercyngetorix.

Pomnę jak orły rzymskie przede mną pierzchały!

Piąty akt rozpoczyna się z brzaskiem dziennym, pod murami Zergowii. Wnet uderzy bojowe hasło. Wodzowie Galscy gromadzą się wkoło Celtila. Nadbiega tłum niewiast i dzieci. Diwitiak nadchodzi z orszakiem Druidów i Bardów.

Wercyngetorix (do obecnych).

Druidy i niewiasty, niech modlitwa szczera
Tym co w boju polegną, niebiosa otwiera.
Na koń! wodzowie klanów, na wroga co żywo!
Rumak Bela pomiata płomienistą grzywą!

Wodzowie spieszą do boju, trąby grzmią, niewiasty zawodzą pieśń chórem na przemian z Druidami. Na rozkaz Diwitiaka Bard Klewor wstępuje na wieżę, patrzy w przestrzeń opowiada co widzi:

Klewor (z wieży).

...Jako spienione oceanu wały
Biją szalonym pędem z wysp zachodnich skały.
Tak rwą się galskie konie, i tak biją razem
W twardy mur rzymskich piersi błyszczących żela-[zem!

Gallowie przebili mur... chwała! zwycięztwo naszym! woła Klewor. Niewiasty i Druidowie radosną odpowiadają pieśnią.

Klewor patrzy znów w przestrzeń, po chwili woła przerażony:

Co widzę!... chmura ludzi.... jeżą się dziryty...
Ach! ziemia pod końskiemi zadrżała kopyty,
Uderza w piersi Gallów zastęp rozkiełznany,
Ślnią proporce...

Głosy z ludu.

Któż oni?

Klewor.

Swewy i Germany!

Jęk niewiast rozległ się rozpaczliwie:

— Mów Bardzie co widzisz jeszcze? pytają Druidzi.

Klewor.

Za kurzu osłoną
Nic dostrzedz, nic... Czy słońce tak barwi czerwono
Krwawym blaskiem te grube tumany kurzawy?
Czy z łona ziemi w górę wzbił się wyziew krwawy?
W jeden chór połączone brzmią mieczów poszczęki,
Straszne klątwy rozpaczy i konania jęki,
Rojem z ziemi ku niebu gniewne duchy płyną,
Czarny kir rozpostarty nad śmierci doliną!

I oto Wercyngetorix, obryzgany krwią, bez hełmu i bez tarczy, z mieczem złamanym w ręku, ukazuje się na wierzchołku pagórka, pomału zstępuje w dolinę.

......Śmierć i zwycięztwo zdradziło mnie społem! wyrzecze z najwyższą boleścią. Wszyscy padają obliczem na ziemię. Gallia pokonana. Miecz Cezara krwawo zacięży nad nią. Diwitiak radzi rozpalić wielki płomień w murach Zergowii.

— Kto żywy, na stos! wołają Druidowie.

Niech Rzym posiędzie tylko prochy naszych kości.

Zadrżały matki, otaczają wodza, wyciągają ręce ku niemu, błagając o życie dla niemowląt.

— Ustąpcie! woła Wercyngetorix, niech się oblicze z sobą, niech przebiję wzrokiem otchłań przyszłości mojej.

Lud odchodzi w milczeniu. Wódz pozostaje sam. W uniesieniu rozpaczy przeklina losy własne. Bogowie go zawiedli on nawzajem urąga bogom. Dobywa sztylet, chce go utopić w piersi swojej.

Tu następuje cudnie piękna liryczna scena. Duch Wercyngetorixa, jawi się przed nim, w złocistej zbroi, z promienistą gwiazdą na szyszaku. Wytrąca oręż z jego ręki, ukazuje mu przyszłość.

Przez ciebie, niebo Gallów na tor w wiedzie nowy!
W nowy kształt się oblecze ich potęga sława,
Możesz ofiar tysiące wydrzeć z rąk Cezara
Okupem jednej twej głowy!

Jam gotów! zawoła Wercyngetorix, ale promieniste widmo nie poprzestaje na tem chwilowem uniesieniu. Ukazuje mu całą przepaść boleści i upokorzeń na jakie się wystawi, powleczony za wozem tryumfatora, z piętnem hańby na czole.

— Jam gotów! nie cofnę się przed niczem! woła bohater. Wola moja niezłomna.

Znika widmo, Wercyngetorix stoi osłupiały, niby posąg z granitu. Tłum wraca, niewiasty i Druidowie otaczają go w koło. On przywołuje Klewora, kreśli kilka słów na tabliczce, rozkazuje wręczyć to pismo Cezarowi; a potem zwraca się do ludu w uniesieniu proroczem zwiastuje mu przyszłe losy Gallii.

— Jak wstrzymać pomstę Cezara? zapytują zrozpaczone matki.

— Nie trwożcie się rzecze bohater:

Cezar ścigać was pomstą nie zamierza wcale;
Ku pysznym jego celom posłużą mu Galle,
O! nie ślepa namiętność jego kroki znaczy.
Bez gniewu on morduje, bez serca przebaczy!
Na jedno tylko imię krew wściekle wnim płonie,
Miecz pomsty w jednem tylko chciałby utkwić łonie,
W łonie tego przed którym w dniu pamiętnej klęski,
Raz pierwszy wobec świata pierzchł orzeł zwycięzki
By w pierś jedną zanurzyć swe krogulcze szpony,
Przebaczy Gallom Cezar zemstą nasycony.

Ledwie to wyrzekł, wchodzi Klewor.

— Cezar czeka! rzecze stłumionym głosem.

Lud z jękiem upada na kolana. Wercyngetorix wyciąga nad nim ręce.

— Gdzie idziesz? pyta Diwitiak.

— Idę do Cezara, odpowiada Wercyngetorix.

Ofiara jego ocaliła miliony. Ostatni wódz Gallów poddał głowę pod miecz liktora, ale zemsta Cezara nie zacięży Gallom. Pokonani orężem, a co więcej porwani siłą wyższej cywilizacyi, łatwo zbliżyli się do Rzymian, przyjęli ich języki i prawa. Nie zatracili przecież plemiennego charakteru; a kiedy w pięć wieków potem upadł Rzym, przywalony najazdem barbarzyńców północnych, Gallia wypłynęła z odmętu, i pod nazwą Francyi, stała się pochodnią chrześciańskiego świata.

S. D.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

We wszystkich sprawach majątkowych, pani Lucas nie lubiła najmniejszej zwłoki; list więc spiesznie był napisanym i przesłanym wedle wskazanego adresu.

Osnowa jego była obszerniejszem rozwinięciem, myśli powyżej wyrażonych.

We wstępie zamieściła szeroki pogląd, na głębokie znaczenie związków rodzinnych. One jedne tylko, pisała, zdolne są nietylko oprzeć się trawiącej wszystko sile czasu, ale z wiekiem nabierają coraz większej mocy. Nie uwierzysz kochany kuzynku, dodała, z jaką przyjemnością wyglądam chwili w której zobaczymy się wzajemnie. Tymczasem podaj mi wszystkie szczegóły dotyczące twej osoby. W wieku dojrzałym, najważniejszym warunkiem szczęścia jest zdrowie. Opisz mi więc dokładnie w jakim ono zostaje stanie, bo gdybyś ¡Boże zachowaj! był cierpiącym, to ja bez zwłoki czasu, nie zwracając uwagi na wszelkie inne względy, przybędę do twego domu, dla otoczenia cię największą troskliwością i opieką. Pod względem dozorowania chorych, nie wyrówna mi najbardziej poświęcona siostra miłosierdzia.

W tej chwili prawdopodobnie myślisz sobie:

„Choroby przychodzą niespodzianie, a kuzyna moja mieszka zbyt daleko, aby mogła mi być użyteczną.“

Twierdzenie jednak takie byłoby nieprawdziwem, bo są nieomylne zwiastuny choroby, często nawet bardzo odległej. Przyspieszony lub zwolniony obieg krwi, rzuca wielkie światło na ogólny stan zdrowia. W tej mierze mam wiele doświadczenia, gdybym przeto miała podaną liczbę uderzeń pulsowych na minutę w trzech porach doby, to mogłabym wyprowadzić wnioski więcej niż prawdopodobne.

Wypada cię jednak uprzedzić kochany kuzynie, że tylko doktór może rozpoznać hypokondryczny stan pulsu. Potrzeba go unikać starannie, bo zagraża on ogólnem sparaliżowaniem krwi, a tem samem nieuniknioną śmiercią.

Pismo całe zakończone było czułościami i grzecznościami bez końca.

Upłynęło jednak kilka tygodni a pani Lucas nieodebrała najmniejszego słówka odpowiedzi. Niepokój jej był wielki, bo już majątek Despanches'a uważała za swoją prawną własność.

Po dwóch miesiącach dopiero prawdziwego udręczenia, przybył nareszcie list, tak niecierpliwie oczekiwany.

Treść jego warta powtórzenia.

Kochana kuzyno!

„Zwlokłem długi czas odpowiedź na twoje pismo, bo doprawdy nie wiedziałem co mam pisać. Znaczenia bowiem twojego listu nie zrozumiałem i dotychczas nie rozumiem. Zkąd u dyabła kochana kuzyno mogła ci zawitać do głowy myśl, abym ja rachował uderzenia pulsu i czynił ci w tej mierze sprawozdania. Nad przedmiotem tym nie zastanawiałem się nigdy w życiu i na przyszłość z pewnością nie odstąpię od tej zasady.

Dla twego pokoju jednak donoszę ci, że czuję przyspieszony obieg krwi jedynie w trzech wypadkach:

1) Skoro w czasie polowania, zrobię kilka mil piechotą z dubeltówką w ręku;

2) W czasie uczty w gronie przyjaciół, gdy smaczny obiad zakropię odpowiednią ilością „dobrego wina;

3) Wybacz staremu grzesznikowi; skoro wejdzie mi w drogę jaki piękny buziaczek.

Przy usposobieniu podobnem, hypokondrya jest bardzo daleką od mego umysłu, a tem samem nie lękam się wcale wzmiankowanego w twoim liście nieszczęśliwego paraliżu krwi. Dotychczas nie miałem żadnych stosunków z doktorami i nie życzę sobie zrobić podobnej znajomości. Skoro czuję jaką ociężałość lub ból głowy, to ostrygi, wino białe i polowanie stawiają mnie zupełnie na nogi.

W wypadkach ważniejszych, szczególniej po przebraniu miary na imieninach lub weselu, to czasem dla wypoczynku poleżę w łóżku dni parę; nie jestem jednak w takim razie pozbawionym opieki. Od dziesięciu bowiem lat, kobiecą częścią gospodarstwa w domu moim, zarządza niejaka panna Katarzyna, nadzwyczajnie zacna osoba. Otacza mnie ona taką troskliwością, tak czyni zadosyć najmniejszemu memu życzeniu, że osoba nawet z najlepszą wolą nie potrafiłaby jej zastąpić.

Z uczynionej przeto ofiary przyjazdu niepodobna mi korzystać, bo tobie zrobiłoby to wiele kłopotu, a mnie najmniejszego pożytku.

W całej okolicy znany jestem ze słynnego lenistwa do pisania listów, gdybyś więc zaszczyciła mnie ponownie swojem pismem, to takowe z pewnością zostanie bez odpowiedzi.“

Jakkolwiek list nie był zachęcający, a nawet dosyć oschły w swej formie, pani Lucas odczytała go jednak z prawdziwą przyjemnością. Uważała ona bowiem, że jej kuzynek nie prowadzi życia hygienicznego; że za wiele pije, a tem samem wedle zasad medycyny, życie jego nie może być długotrwałem. Ta jeszcze okoliczność, że Desplanches widocznie był zapalonym myśliwym, wlewała słodką nadzieję w jej serce, bo przecież dzienniki bardzo często opisują, rozmaite wypadki zaszłe na polowaniach.

Zatrwożoną jednak była wielce tą myślą: aby owa panna Katarzyna przy całej swej zacności, nie zechciała uszczuplić spadku, gdyby takowy niespodzianie był otwartym.

W tym celu przeto po wielu staranach, potrafiła zawiązać stosunek z jedną starą kobietą mieszkającą w Nogent sur Seine. Dała jej zlecenie bardzo szczegółowe, a ponieważ sprawozdania tygodniowe wykazywały ściśle spełnianie takowych, z zupełnem więc pokojem oczekiwała na dalszy bieg wypadków. Owcześnie jedynym kłopotem pani Lucas, były koszta przyszłego pogrzebu Deplanches'a.

Wszelką przewyżkę nad sto tysięcy franków, chętnie poświęciłaby w tym celu, ale naruszać okrągłą cyfrę byłoby rzeczą nader bolesną.

Marzenia te jednak uległy niespodziewanemu rozproszeniu.

Pani Lucas otrzymała list gruby z pieczęcią pocztową poświadczającą wysyłkę z Nogent sur Seine.

Z napisu poznała rękę Deplancpes'a, z gorączkową więc ciekawością rozdarła kopertę, ale wyczytała nowiny niebardzo przyjemne.

Deplanches pisał co następuje:

„Kochana kuzyno!

Teraz dopiero zrozumiałem, co znaczyła szczególna osnowa twego listu. Głupia twoja przyjaciołka męcząca mnie od wielu miesięcy swojem natręctwem w dniu onegdajszym po kilkakrotnie usiłowała mnie wziąć za rękę. Chcąc zbadać jej cel, udałem nadzwyczajnie pilne zajęcie się czytaniem gazet. Podejście znalazło powodzenie, bo nieznośna kobieta, wyjąwszy zegarek minutowy, z najzimniejszą krwią poczęła liczyć uderzenia mego pulsu. W gniewie o mało nie wygrzmociłem baby, bo co komu dyabli do mego zdrowia. Wystraszona powiedziała wszystko, a nawet pokazała twoje listy.

Nie chcę kochana kuzyno, abyś żyła w złudzeniu bo rozczarowanie mogłoby spowodować hypokondryą, a tem samem paraliż krwi, jakim mnie kiedyś straszyłaś. Z załączonej przeto kopii testamentu urzędowego, poweźmiesz wiadomość, że całe moje mienie zapisałem trzem siostrzeńcom panny Katarzyny, z zastrzeżeniem praw przyszłego potomstwa. Śmierć zatem moja nie przyniosłaby ci najmniejszego pożytku, a tem samem nie masz żadnej potrzeby nasyłania mi starych czarownic, chcących badać uderzenia mego pulsu.“

Dopisek był niemniej ciekawym:

„W przyszłym miesiącu odbędziemy chrzest trzeciego siostrzeńca panny Katarzyny. Ja będę ojcem chrzestnym, a ciebie zapraszamy na matkę. Jeżeli uczynisz zadosyć naszej prośbie, to pomimo tego co zaszło, przyjmiemy cię z należnemi względami i uszanowaniem.

— Piękne postępowanie, krzyczała pani Lucas z oburzeniem, to hańba prawdziwa być krewną podobnego wszetecznika. Miałam rozum trzymając się zdala wszystkich członków mej rodziny. Raz na zawsze zrywam z nimi wszelkie stosunki.

Wykrzykniki te jednak nie zapełniły próżni jaką uczuła nagle pani Lucas w swoim umyśle, straciwszy nadzieję odziedziczenia spadku po Desplanches'u.

Na szczęście jej, Busson w owym czasie uznał za właściwe odkryć swoje zamiary, a tem samem wskazać widoki prawdopodobniejsze do spełnienia.

Jak to mówiliśmy pani Lagrange była bezdzietną. Z rodziny miała tylko brata wdowca bez potomstwa, równie jak ona bogatego. Nie spotrzebowywał on nawet czwartej części posiadanych dochodów; dał więc zupełne upoważnienie siostrze, dotkniętej chorobą śmiertelną, rozporządzenia majątkiem własnym wedle upodobania.

Korzystając z pozwolenia jedynego krewnego, zamierzyła ona całe mienie obrócić na cele dobroczynne.

Nie wiedziała jednak, czy wesprzeć istniejące już instytucye i jaki w tej mierze zrobić wybór? czy też wytworzyć nowy zakład z celem najodpowiedniejszym do obecnych potrzeb społeczeństwa francuzkiego.

Busson przeto miał zleconem, naradzić się w tej mierze z osobami właściwemi i udzielić odpowiedź stanowczą.

Przyszła mu jednak myśl do głowy, aby i jego nazwisko pomieszczonem było w testamencie z odpowiednim zapisem. Sam jednak nie chciał czynić żadnych starań, aby zawsze utrzymać miano człowieka prawego i uczciwego. Zwlókłszy więc pod rozmaitemi pozorami, udzielenie żądanej odpowiedzi, pomieścił panią Lucas w zamku Verrieres, dając jej pierwiastkowo jedynie zlecenie, aby starała się pozyskać przyjaźń pani Lagrange i zupełne jej zaufanie.

Życzenie powyższe spełnionem było należycie.

Pani Lagrange z usposobienia swego, była bardzo cierpliwa, łagodna i dobra. Z łatwością przywiązywała się do osób otaczających ją bez oporu ulegała ich woli. W miarę rozwoju choroby samoistność jej znikała coraz bardziej a tem samem wszelkie nieporozumienie było niepodobnem.

Nadto pani Lucas, z przyczyn wiadomych, opiekowała się nią z nadzwyczajną troskliwością, a mając wiele rzeczy do opowiadania z przeszłości, była lubioną bardzo przez biedną chorą pragnącą jak najczęściej zostawać w jej towarzystwie.

Busson widząc taki stan rzeczy, odkrył pani Lucas główną myśl swoją. Ze swej strony przyrzekł zabezpieczyć jej przyszłość, jeżeli tylko umiejętnie przeprowadzi jego zamiary.

— Eugenia, mówił, dzięki memu poparciu, przebyła tak nazwany czas terminu, jest dzisiaj robotnicą i zarabia trzy franki dziennie.

Wkrótce dojdzie do zupełnego wydoskonalenia. Dałbym więc odpowiedni kapitał na założenie magazynu. Przedsiębiorstwo tego rodzaju zabezpieczy utrzymanie raz na zawsze, bo gdyby nawet Eugenia umarła, to kuzyna sama przy pomocy pierwszej panny może prowadzić zakład.

Nowy horyzont otworzony został przed oczami pani Lucas; rój myśli zawładnął jej umysłem a chciwość podsycana szczególnym zbiegiem okoliczności, doszła do niesłychanych rozmiarów.

W ciągu tygodnia, przedstawiła ona pani Lagrange rozmaite kombinacye testamentowe, z których każda otrzymała zezwolenie chorej. Nadmieniła najprzód o Bussonie, później wspomniała o sobie, a widząc że nie znajduje oporu, wytłomaczyła pani Lagrange, że darowizna na instytucye dobroczynne byłaby zupełnie niewłaściwą, ale że majątek zapisanym być powinien w połowie jej, a w połowie Bussonowi.

— Niechże i tak będzie odpowiedziała pani Lagrange, zajmująca się coraz mniej rzeczami ziemskiemi, trzeba tylko poprosić notaryusza, aby już raz skończyła się ta nieszczęsna sprawa testamentowa.

Pani Lucas jednak po namyśle, nie była rada z uczynionego przedstawienia. Przypuszczając do współki w spadku Bussona, wypadało chyba sprzedać pałac z pysznym ogrodem. Pomieszkania jednak podobnego nie łatwo było znaleźć gdzieindziej chciała więc zostać na miejscu do nieskończoności, a tem samem wypadało usunąć swego kuzynka od spodziewanego spadku.

Pod wpływem tych myśli, przez cały dzień nie wspomniała ani słówka o testamencie, a tylko zdwoiła starania koło chorej. Nazajutrz dopiero uściskawszy serdecznie panią Lagrange, z prawdziwem wzruszeniem, bo chciwość wycisnęła nawet łzy z jej oczów, rzekła:

— Całe życie moje było poświęceniem dla drugich, z tej przyczyny utraciłam znaczny majątek.

Wiadomo pani, że Eugenię wzięłam prawie z ulicy, a chociaż obca mi zupełnie, była wychowaną jak najstaranniej. Pierwiastkowo miała pani zamiar przeznaczyć majątek na cele dobroczynne. Niech więc pani zrobi ogólny zapis na moje imię, jako także dotkniętej ciężkiem brzemieniem losu, a w zamian przyrzekam pod przysięgą, obrócić wszystkie dochody na ocieranie łez nieszczęśliwym.

Pani Lagrange zdawała się być nieco zdziwioną tak niespodzianem przedstawieniem; lubiąc jednak panią Lucas, wzruszoną była jej łzami i rękami złożonemi błagalnie, przystała więc na wszystko, prosząc tylko, wedle zwyczaju, o zawezwanie notaryusza.

Cała sprawa byłaby załatwioną szybko, ale pani Lucas nie dowierzała urzędnikowi publicznemu bo znając jego stosunki z Busson'em, lękała się aby nie wywarł szkodliwego wpływu na umysł chorej. Wolała zatem testament własnoręczny jako równie ważny a nie wymagający wcale obecności trzecich osób.

Na nieszczęście chora nie miała sił dostatecznych do napisania nawet kilku wierszy.

W tej chwili pani Lucas popełniła błąd straszliwy, pozbawiający ją więcej niż milionowego majątku.

Zpostrzegłszy bowiem puls mocniejszy u cierpiącej niż w dniu wczorajszym, odłożyła dalsze działanie do dnia następnego w tem przekonaniu, że chora szczególniej rano, posiadać będzie siły dostateczne do wykonania zamierzonej czynności.

Na nieszczęście dla niej, przyspieszony obieg krwi, był ostatnią walką życia jak świetniejszy płomyk gasnącej lampy.

Tymczasem Busson nie odbierając żadnej wiadomości od pani Lucas, przyjechał do zamku Verriéres, aby zbadać na miejscu istotny stan rzeczy. I spostrzegł on z zadziwieniem, że mniemana wspólniczka unika wiadocznie z nim spotkania: nie zwlekając więc dłużej poszedł wprost do pani Lagrange. Zastał ją nadzwyczajnie zmienioną i bliską śmierci.

W podobnych warunkach. zachowywanie zwykłych względów było zupełnie zbytecznem, zapytał więc bez ogródek o osnowę testamentu. Pani Lagrange chociaż głosem przerywanym, opowiadała jednak wszystkie szczegóły podane wyżej. Oburzenie Busson'a było nadzwyczajne.

— Dlaczego pani ma zapisywać cały majątek pani Lucas, mówił z nietajonym gniewem.

— Ona obiecała wszystkie dochody obrócić na ocieranie łez nieszczęśliwym, mówiła chora głosem co raz słabszym.

— To przecie i ja mogę zrobić to samo, a tyle lat oddawałem pani usługi, odparł Busson oburkliwie.

— Niechże i tak będzie, mówiła chora głosem gasnącym, zapiszę panu cały majątek, wołajcie notaryusza, ale szpieszcie się na miłość Boską, bo czuję, że umieram.

Busson z pewnością nie stracił jednej chwili na próżno; zanim jednak zdołał sprowadzić urzędnika publicznego pani Lagrange wydała ostatnie tchnienie.

Gniew i oburzenie Busson'a na panią Lucas były niezmierne. W pierwszej chwili spotkawszy ją byłby się posunął do jakiej ostateczności; przezorna jednak kobieta, rozgłosiwszy że niby wyjeżdża do Paryża. zamknęła się szczelnie w swoim pokoju.

Strata tak znacznego zysku niezaprzeczenie była bardzo dotkliwa, ale Busson cierpiał jeszcze więcej z innego względu. Był on nadzwyczajnie pyszny ze swojego rozumu, a właściwie powiedziawszy sprytu łotrowskiego, dającego mu zawsze środki do zamącenia wody, i łapania nieszczęsnych ofiar w zastawione sieci. W obecnym zaś wypadku postąpił jak najnieumiejętniej; w chwili bowiem kiedy ubiegał się za zyskiem kilku, kilkunastu, lub kilkudziesięciu tysięcy, wypuścił z rąk majątek wartujący najmniej półtora miliona, jaki można było zagarnąć z wielką łatwością, bez najmniejszego narażenia swej osoby. Nie poznał przeto należycie usposobienia ani pani Lagrange ani pani Lucas; działał więc jak najniezręczniejszy nowicyusz, chociaż w stosunkach z ludźmi uważał siebie za skończonego mistrza.

Te i tym podobne myśli oddziałały tak szkodliwie na zdrowie Busson'a, że po raz pierwszy okazały się objawy jakiejś dziwnej choroby umysłowej. Siedział czasem na krześle kilka godzin nieruchomo, powtarzając od czasu do czasu jedne i te same dwa wyrazy: „głupi byłem.“ Obfite stawienie pijawek i inne środki lekarskie, przywróciły mu zdrowie dawniejsze. Chcąc powetować czas stracony, bez zwłoki zajął się prowadzeniem dalszych interesów.

Na wstępie spotkała go bardzo przyjemna nowina: spadkobierca bowiem pani Lagrange przysłał mu plenipotencyą zupełną do dalszego zarządzania majątkiem, a nawet do sprzedania takowego, jeżeliby się znalazł odpowiedni nabywca. Była zatem nadzieja powetowania choć w części doznanej straty.

Pomimo tego nienawiść jaką uczuł do pani Lucas nie była wcale zmniejszoną. Od dalszego obowiązku rozciągania opieki nietylko w swem sumieniu był zwolnionym, ale miał prawo zemszczenia się przy nadarzonej sposobności. Pod wpływem tej myśli chciał nawet wyrzucić ją z zajmowanego mieszkania; przez wzgląd jednak na Eugenią udzielającą jego córkom bezpłatne lekcye, zostawił w pokoju biedne kobiety.

Rozpoczęły one najsmutniejszą epokę żywota, bo wszystkie środki utrzymania sprowadzone zostały do małego zarobku Eugenii.

Poczciwa panienka będąc samą, mogła stawić zwycięzkie czoło złowrogiemu losowi, ale nawet na myśl jej nie przyszło, aby miała kiedykolwiek rozstać się z przybraną matką.

Spędziwszy dzień cały na pracy w magazynie, zniewoloną była w nocy prać, szyć i gotować na dzień następny. Wystarczała na wszystko, bo potęga moralna jej ducha zdwajała siły fizyczne ciała. Nigdy z jej ust nie wyszło najmniejsze słowo skargi; zawsze z twarzą pogodną witała dawną swoją opiekunkę, dokładając wszelkich starań, aby osłodzić jej żywot i przelać trochę pociechy w znękane serce.

Nie była to rzecz łatwa, bo pani Lucas nie umiała wcale zastosować się do okoliczności, a straciwszy wszystko aż do ostatniej nadziei, była nadzwyczajnie przykrą dla towarzyszki swego losu. Przyczynę doznanych zawodów, kładąc zawsze na karb drugich, zagniewaną była na cały świat, a nie mogąc dokuczyć komu innemu, przelewała zebraną żółć na głowę biednej Eugenii. Nie umiejąc ocenić pracy i zmęczenia, bo sama nigdy nic nie robiła, wyrzucała jej próżniactwo, jeżeli ta chwilę usiadła dla wypoczynku. Widząc twarz wesołą, zarzucała szyderstwo, bo każdy uśmiech był urąganiem z jej potrzeb niezaspokojonych; skoro zaś chmura smutku pokryła twarz biednej panienki, to niegodziwa kobieta krzyczała w niebogłosy: że Eugenia znudzoną została jej obecnością, pragnie więc jej się pozbyć, dając dowody najczarniejszej niewdzięczności.

Każdy wyraz pani Lucas napojony był największą złością i nienawiścią.

Dawna rojalistka i wielka zwolenniczka Henryka V., nagle stanęła w szeregach najzacietszych rewolucyonistów. Wedle jej zdania Marat i Robespierre zgrzeszyli zbytniem umiarkowaniem. Tyle gwałtowna zmiana jej wyobrażeń spowodowaną była odmownemi odpowiedziami dawnych znajomych i przyjaciół, na przesłane do nich listy wzywające o pomoc pieniężną.

Nie mając w sercu prawdziwego uczucia religijnego, ani odpowiedniego rozumu, rozpacz swoją objawiała w sposób nadzwyczajnie jaskrawy. Siedząc dzień cały w mieszkaniu samotnie i bezczynnie zajętą była jedynie wywoływaniem obrazów minionej przeszłości. W obec myśli podobnych, teraźniejszość czyniła na niej tem przykrzejsze wrażenie. Gniew jej i boleść, dwa uczucia ujemne, tłumione z konieczności skoro była sama, znajdowały swój wyraz w całej pełni, dopiero za przyjściem Eugenii. Wygadawszy się i nakrzyczawszy do woli w połowie tylko była zadowoloną, bo chciała kłótni na dobre, a napotykała zawsze uległość i szczerą chęć, uczynienia zadosyć najnierozsądniejszym jej wybrykom. Troskliwie bardzo badała każdy uczynek Eugenii, każde jej słowo, dźwięk mowy, najmniejszy ruch ręki, aby znaleźć więcej uzasadnione prawo do skarg i wymówek. Poszukiwania

jej były daremne, pod wpływem przeto doznanego zawodu nazywała córkę przybraną, martwem stworzeniem, bez krwi, woli, uczucia.

Zaszedł jednak drobny wypadek, wykazujący niesprawiedliwość powyższego mniemania.

Przechodząc raz przez most, usłyszała z rzeki skomlenie małego pieska. Szczęśliwie jakoś znalazł chwilową podporę na gałęzi, ale widocznie rozumiał niebezpieczeństwo położenia, bo pisk jego był przeraźliwy. Eugenia z narażeniem własnem, wydobywszy z wody biednego psinę, postanowiła przyjąć go na opiekę. Pani Lucas, rzecz prosta, była najprzeciwniejszą temu zamiarowi, dowodząc, że utrzymanie w domu darmozjada, uszczupli znacznie drobny zarobek Eugenii. Chociaż biedna panienka objawiła stanowczo zamiar dzielenia się z pieskiem posiłkiem dla niej przeznaczonym w magazynie, złośliwa kobieta nie chciała ustąpić, a napotkawszy nareszcie opór, powtarzała tem częstsze napaści. Wszelkie jednak usiłowania tego rodzaju były daremne, bo Eugenia polubiła bardzo psa z nadanem mianem Wiernego i jakby przeczuwając, że będzie on kiedyś największym jej przyjacielem i obrońcą, zniosła wszelkie wymówki i prześladowania, nie zezwalając na usunięcie z domu swojego wychowańca.

Wśród takich to bolesnych okoliczności, spędziła bohaterka nasza kilka lat wiosny swego żywota. Nie miała chwili wypoczynku, chwili wytchnienia moralnego jak tylko wtenczas, kiedy w samotności mogła zapłakać, lub skoro poczciwy Wierny łaszeniem swem chciał widocznie ukoić jej boleść.

(d. c. n.)

Dwa przebudzenia.

Jakże wyrażenia nasze niedokładne dają nam wyobrażenia o rzeczach które przedstawiają! Jedno i to samo słowo całkiem odmienne przybiera znaczenie, całkiem odmienne budzi w nas pojęcia, w miarę różnicy przedmiotów do jakich się odnosi. Cóż, naprzykład, wdzięczniejszego nad to wyrażenie: przebudzenie się dziecka?... co smutniejszego nad te słowa: przebudzenie się starca?...

Dziecię budzi się jak kwiat otwierający się z pączka, noc pracowała zarówno dla nich obojga. Rankiem kwiat rozkwita świeższy, wonniejszy lepiej rozwinięty, dziecię budzi się więcej zarumienione, weselsze, silniejsze. Jego rożowo, wilgotne usteczka, zdają się pokryte rosą: krótkie wijące się włoski, które lekkie spocenie przykleiło do jego skroni, utworzyły rodzaj korony; rączki i nóżki wysuwające się z pod kołderki, wyglądają jakby utoczone z różowego marmuru—uśmiecha się zaledwie otworzywszy oczęta... A do czego się uśmiecha?... Do życia! do życia które mu obiecuje tak wiele!... Twarzyczka jego jest tak rozpromieniona, iż zdaje się wracać z jednego raju aby przejść do innego. Dziecię nie wstaje ale wyskakuje z łóżeczka na w pół nagie, i od pierwszej zaraz chwili czuje się zupełnie swobodnem i pewnem siebie. Ruchy jego są giętkie, łatwe, miękkie, pełne swobody i wdzięku...

A jakże to smutnem i powolnem jest przebudzenie się starca! Zdawałoby się że spoczynek znużył go i zmęczył. Okrywa się lepiej kołdrą, z obawy aby go nie owiało powietrze; oczy jego zaledwie mogą znieść światło dzienne; głowa mu cięży. Jeźli podlega jakiemuś chronicznemu cierpieniu, budzi się ono nim jeszcze dobrze otworzył oczy, jakby zaczajone czychało na niego i szepcze mu: otóż jestem zanim zdołał sen spędzić z powiek. Członki starca poruszają się ciężko jak zardzewiałe sprężyny, organa z trudnością odzyskują swą władzę. Czy chce odetchnąć czy poruszyć się albo przemówić, wszystko to niełatwo mu przychodzi. Wszelkie władze i zdolności jego nie odrazu się budzą, ale powstają jedna po drugiej, zdaje się jakby zapoznał się ze śmiercią a żyć oduczył.

Dwa te obrazy bezmiernie różnią się siebie, jeden uroczy i uśmiechnięty, drugi smutny i posępny. A jednak, starcze, od ciebie tylko zależy aby właśnie twoje przebudzenie było piękniejszem. Dziecię budzi się aby się bawić, używać, być szczęśliwem, wszelkie zamiary jego na ten rozpoczynający się dzień, odnoszą się do uciech, pustoty, zamków na lodzie, ty przebudź się aby się zastanawiać, rozmyślać, pracować, cierpieć cierpliwie i z poddaniem, i niech myśl twoja rozporządzi tym dniem jaki ci Bóg jeszcze przebyć dozwala, na korzyść i pociechę wszystkich, wszystkiego co cię otacza.

Jedyną cnotą dziecka jest: nie robić nic złego—niech twojem zadaniem będzie—czynić dobrze.

Dziecię przebudziwszy się biegnie do matki i składając rączęta powtarza za nią słowa modlitwy, jakby łącząc swój głos czysty i niewinny z chórem aniołów opiewających chwałę Stwórcy wszech rzeczy. I o cóż dziecię modli się do Boga?... W niewinnej swej modlitwie prosi o zdrowie dla chorych, o wolność dla więźni, o dach dla sieroty, o kawałek chleba dla nędzarza. Ty starcze powinieneś uczynić więcej. Ty błagaj Tego co w swej wszechwładnej prawicy dzierży dusze i wszystko, aby zbudził tak w twojem jak współbraci twoich serca, litość, która nakazuje nakarmić głodnego, miłosierdzie które każe pocieszać strapionych i chorych, siłę wytrwania w dobrem i bezgranicznego poświęcenia dla szczęścia rodzinnej ziemi, odwagę zdolną zerwać niesłuszne więzy; uczucie, którem ożywieni z rodzicielską czułością przygarniamy sieroty.. O! wtedy, nawet hymn niewinego dziecka, nie będzie piękniejszym, wznioślejszym nad taką modlitwę przebudzonego starca...

Korespondencya zagraniczna.

(Dalszy ciąg).

Jest w tem nieco prawdy co powiedział o Anglikach złośliwy dowcipniś: że na zabawach i balach bywają zwykle posępni i chmurni, ale za to podczas swoich obrządków religijnych śmieją się i weselą. Takie przynajmniej sprawił świeżo wrażenie tryumfalny pochód *Armii Zbawienia* (the Salvation Army) przeciągający ulicami Londynu do wielkiego gmachu wznoszącego się w Bermondsey. Główną zasadą tej nowej sekty jest: odbywać nieustanne pochody, nauczając i modląc się, czy to po samotnych drogach wiejskich, czy po ludnych ulicach miast. Pocieszna ta armia składa się głównie z kobiet różnego wieku, od sędziwej wdowy wspartej na kiju, do kilkunastoletniej dziewczyny: mężczyzn daleko mniej znajduje się w jej szeregach, i bywają to najczęściej wysłużeni oficerowie, którzy nawykłszy przez całe życie przebywać świat lądem i morzem, nie mogą spokojnie dosiedzieć na miejscu. W ogóle mężczyźni są bardzo starzy lub bardzo młodzi. Sekta ta zawiązała się w Leamington i ztamtąd zaczęto wysyłać oddziały pod dowództwem kapitanów i poruczników wyłącznie rodzaju żeńskiego, gdyż mężczyźni nie piastują żadnych stopni w Armii Zbawienia. Często bardzo policya,—nielubiąca w ogóle tych hałasujących religii wywołujących zbiegowiska po ulicach, aresztuje dowódzców, a miss Locke, jedna z najmożniejszych kapitanów tej armii, trzykroć była już aresztowaną za niestosowne na ulicach demonstracye, czego nietylko nie ma sobie za upokarzające, ale pragnie zostać męczenniczką i protestuje że jej nie wtrącono do czarnego więzienia.

Pewnego mglistego wieczora w godzinie gdy robotnicy wypoczywają po całodziennej pracy, wkroczył do Londynu pierwszy oddział Armii Zbawienia śpiewając arcy-ponure pieśni. Trudno sobie wystawić gwar i śmiech wywołany tym pochodem. Hufiec ten składał się z trzystu osób, w którym było około pięćdziesięciu mężczyzn: dowodziła nim jakaś stara panna, piastująca jednocześnie godność kapitana, lekarza, hirurga i kapelana. Postępowała na czele, dumna i rozpromieniona, z podniesioną głową, a tuż za nią nowo zaślubiona para, którą połączyła przed kilku godzinami u stóp ołtarza. Wszyscy aktorowie tej komedyi nowego rodzaju, gestykulowali zawzięcie, szli jednakim krokiem, śpiewali jak kto mógł najgłośniej; śpiew ten przerywał niekiedy głośny dźwięk dzwonka i uroczysty okrzyk: „Zchodźcie się, grzesznicy! Pan was woła!“ I nie zważając na śmiech, drwiny i zawady napotykane na drodze, Armia Zbawienia szła ciągle aż do „Fabryki“ a jej odwaga i wiara tak zaimponowała tłumom, iż dopiero gdy już drzwi tego schronienia zamknęły się za ostatnim szeregowcem kobietą, dały się słyszeć głośne obelgi, wymyślanie i bicie pięściami do drzwi; nie zważając jednak na to wszystko, Armia Zbawienia śpiewała i modliła się głośno do północy.

Nie podobna nie przyznać że kościół anglikański przedstawia wszelkie symptomata zupełnego rozkładu. Oprócz powstających ciągle coraz nowych sekt, nader groźnym objawem jest rozdwojenie szerzące się coraz więcej między najwyższymi dostojnikami kościoła.

Zamierzono zreformować rytuał zgodnie tegoczesnem usposobieniem, i w tym celu wielebny Dean Stanley wygłosił w opactwie Westminsterskiem szczególniejsze kazanie, które rozpoczął od słów: „*czy warto* reformować rytuał anglikański?“ Tak, odpowiedział sobie, bo wszystko co warte jest zachowania, godne jest ulepszenia.“ I zaczął opowiadać dzieje tego rytuału, który widać strasznie „wart jest ulepszenia“ skoro dwa razy już był przejrzany i poprawiony za Edwarda VI, a następnie za królowej Elżbiety i Karola II-go. Obecnie pragną znowu zreformować go zupełnie, i dziekan Westminsteru powstaje na wiele obowiązujących przepisów i nabożeństw. „Możeż być co niedorzeczniejszego, nad odprawiane po dziś dzień „dziękczynne modły“ w dzień powrotu Karola II-go lub za wybawienie Parlamentu podczas spisku Guy Fawkes'a? Modlitwa za zwycięztwo podczas wojny równa się modłom dzikich wzywających wielkiego Manitu... i dalej wylicza wiele, wiele przestarzałych praktyk, nad któremi wierni oddawna ubolewają. Ruch ten reformatorski popiera gorliwie arcybiskup Kanterburyjski. i pragnie urzeczywistnić go jak najśpieszniej bez żadnych narad i rozpraw, przeciwnie zaś arcybiskup Yorkski pragnie zachować nienaruszenie, co, jak mówi „mędrsi od nas postanowili. Sam tylko budowniczy wie gdzie jest klucz sklepienia; wyjęciem jednej cegiełki cały gmach można obalić.“ Lęka się że wkrótce katolicyzm zagarnie i zniesie kościół anglikański, i zarzuca koledze swemu że działa pod wpływem jezuitów. Dla zniweczenia zamiarów przeciwników, zwołał ogólne zgromadzenie duchownych wszelkich stopni, i wzy-

wa wszystkich wiernych aby mu przedstawili swój pogląd na tę ważną kwestyą.

Najwięcej zbliżona do katolicyzmu sekta wesleyenów, rośnie nadzwyczaj w potęgę i siłę. I kto wie czy arcybiskup Yorku tak bardzo się myli, mówiąc z boleścią: „Nie upłynie pięćdziesiąt lat, a cała Anglia należeć będzie w połowie do Wolsley'a, a w połowie do papieża.“

Śmierć jednego z urzędników korony, którego obowiązkiem jest czuwanie nad Wielką Pieczęcią koronną, wywołała ciekawe rozprawy o atrybucyach tego dygnitarza. Z pozoru zdawałoby się, że niebardzo to ciężki obowiązek nieść przed lordem-kanclerzem, podczas wielkich państwowych uroczystości worek jedwabny haftowany złotem a w nim złotą pieczęć korony, ale od czasu gdy pieczęć taka została raz skradzioną, pieczętarz jest obowiązany ani na chwilę nie spuszczać jej z oczu, i dopókąd tylko lord kanclerz pełni swoje obowiązki, każdej chwili, tak we dnie jak w nocy, stawić się na jego wezwanie, dla przyłożenia pieczęci na dokumentach urzędowych.

Pieczęć taka zmienia się za wstąpieniem na tron nowego panującego, i uważają że jedynie autentyczne portrety wszystkich monarchów, począwszy od Edwarda Wyznawcy, są przechowane na pieczęciach. Na swojej bardzo źle jeszcze odrobionej pieczęci, Wilhelm Zdobywca przedstawiony jest na koniu, Ryszarda Lwie Serce, podtrzymuje z obu stron „promieniejące słońce“ i pół-księżyc; w ręku trzyma on kulę ziemską, nad którą wznosi się krzyż a pod nim nadzwyczaj długa szpada. Ryszard III, trzyma w ręku nadzwyczaj wielkich rozmiarów kulę ziemską i krzyż; na tej pieczęci po raz pierwszy róża ukazuje się w herbie Anglii. Za Henryka VIII, lampart znika a miejsce jego zastępuje pies gończy, ukazujący się jeszcze na pieczęci Edwarda VI narysowany w stylu *renaissance*, a nie w gotyckim jak poprzednie. Pieczęć królowej Maryi zdobi róża Tudor'ów. Elżbieta przedstawiona jest w swoim tradycyonalnym stroju, na jej pieczęci pojawia się po raz pierwszy harfa Irlandyi. Na pieczęci Jakóba I. widzimy raczej przyrządy myśliwskie, niż godła królewskie. Lew i jednorożec ukazały się po raz pierwszy na pieczęci Karola I. Po śmierci tego monarchy, gdy rząd nie mógł używać pieczęci królewskiej, obmyślano symboliczną na której dość dobrze przedstawiona jest Izba Gmin i członkowie jej w pełnem posiedzeniu. Dopiero na pieczęci królowej Anny, po raz pierwszy występuje „Britania“ figurująca od owego czasu na wszystkich monetach i markach angielskich.

Za panowania Jerzego III, wielka pieczęć koronna zginęła bez śladu, otóż dla niedopuszczenia podobnego wypadku, pieczętarz obowiązany jest czuwać nad nią bezprzestannie, dopókąd nie zostanie zamknięta w skarbie korony, po zamknięciu sądów i wyjeździe lorda kanclerza.

Przed parą miesiącami odbyła się w Londynie pierwsza exekucya, że się tak wyrażę „przy drzwiach zamkniętych.“ Wykonano wyrok śmierci na niecnej zbrodniarce Katarzynie Webster, i nietylko publiczność ale nawet reporterzy dzienników nie zostali dopuszczeni do wnętrza więzienia, po za którego murem egzekucya miała miejsce. Wywołało to ogólną wrzawę i szorstkie rozprawy dziennikarskie. I nietylko większość publiczności ale nawet dzienniki wystąpiły w obronie czwartej potęgi —to jest prassy. Stąd wywiązały się gorące spory między stronnikami i przeciwnikami kary śmierci. Do pierwszych należy pan Cross, minister spraw wewnętrznych, i tylko polecił mistrzowi sprawiedliwości, aby obmyślił sposób ulżenia cierpień skazanym na śmierć przez powieszenie. W wykonaniu tego rozkazu, kat wyrozumował iż należy stosować długość powrozu odnośnie do wagi ofiary. Dla szczuplejszych trzy stopy, dla otyłych pięć. Parę tygodni temu, ów pomysłowy kat, nazwiskiem Marwood, odmówił wykonania wyroku na jakimś skazańcu w Exeter, dopókąd rusztowanie nie będzie przerobione według jego udoskonalonego systemu — a że było to dość kosztowne, urzędnicy sądowi nie chcieli zgodzić się na jego żądanie. Wtedy Marwood powołał się na bardzo stare, ale nie odwołane dotąd postanowienie, iż w braku lub w nieobecności urzędowego kata, szeryf hrabstwa obowiązany jest sam wykonać wyrok śmierci. Można sobie wyobrazić przerażenie dygnitarza, który też natychmiast wydał Marwood'owi upoważnienie zaprowadzenia żądanych zmian w rusztowaniu.

Wiek XIX nie wojownikom ale bohaterom przemysłu rzuca najświetniejsze wieńce, a w dodatku do nich miliony. Na ostatniem posiedzeniu Instytutu robotników w Birgminham, jeden z członków opowiedział bardzo zajmująco biografią Józefa Gillot, wynalazcy piór metalowych.

Józef Gillot urodził się w Sheffield, ale, zmuszony nędzą, młodo bardzo opuścił rodzinne miasto, i udał się do Birmingham, szukać zarobku i chleba. Naturalnie drogę odbywał pieszo dochodząc do miasta, zmęczony usiadł na prostym zydlu stojącym przed karczmą, i za ostatniego penny wypił kufelek piwa: był to całodzienny jego posiłek. Wkrótce po przybyciu do Birmingham, zdarzyła mu się robota u jakiegoś fabrykanta sprzączek; niedługo jednak zaczął pracować na swój rachunek, i wykończony wyrób sprzedawał hurtownym fabrykantom. Iluż to przyszłych milionerów zarówno jak on rozpoczynało swój zawód w nędznej izdebce pod strychem, i zwalczać musiało przeszkody i trudności zdolnościami, pracą i wytrwałością. Józef Gillot wyrabiał swoje sprzączki tak zręcznie i gustownie, iż wkrótce ogromną zyskały wziętość, dobijano się o nie i płacono znacznie drożej niż za wszelkie inne. Wtem przypadek, ten opiekuńczy duch geniuszów, zaprowadził go do warsztatu, w którym w umyśle jego zrodził się pomysł mający przynieść mu, jak to mówią, złote góry. Józef Gillot był wtedy zaręczony z młodą dziewczyną, pracującą z dwoma braćmi swoimi, w fabryce piór żelaznych, które wówczas zaledwie zaczęły pojawiać się w handlu. Pracowali bez żadnej metody, wyrzynając, krając i przycinając swe pióra z wielką trudnością, na chybił trafił. Młody robotnik patrząc na ich robotę pojął odrazu, że za pomocą odpowiedniej maszyny, możnaby wyrobić prędzej i lepiej całe tysiące, niż byli w stanie wyrobić ręcznie jeden tuzin. Zaczął więc pracować skrycie w swoim dymniku nad obmyśleniem i wyrobieniem odpowiednich przyrządów, które też wkrótce zupełnie odpowiedziały jego zamiarom. Po dwutygodniowej pracy, ukończył maszynę, przewyższającą dokładnością i pośpiechem, pracę dwudziestu ręcznie pracujących robotników.

Gdy tylko pióra jego wyrobu pojawiły się w handlu, zarzucono go takim nawałem obstalunków, iż pomimo maszyny, sam w żaden sposób podołać im nie mógł. Zamiast szukać wspólnika, ożenił się z narzeczoną swoją i odkrył jej tajemnicę swego wynalazku. Po kilku latach wspólnej niezmordowanej pracy, mogli już założyć wielką fabrykę piór metalowych, których wyrób przyniósł im kolosalny majątek. Gillot lubił siadać na owym drewnianym zydlu i opowiadać gościom zebranym w pysznych swoich apartamentach, jak biednym był w młodocianych latach, i jak jeszcze w dzień ślubu musiał pracować, aby przed udaniem się do kościoła dokończyć pilny obstalunek.

W końcu miesiąca września, złożono w opactwie Westminster, gdzie spoczywają wielcy mężowie Anglii, zwłoki sir Rowland'a Hill, jednego z największych dobroczyńców całego świata, któremu zawdzięczamy obniżenie opłaty pocztowej od listów. Urodził się w r. 1795 i był synem niezbyt zamożnych rodziców; od najmłodszych lat okazywał nadzwyczajne zamiłowanie do rachunków i arytmetyki. Słabego zdrowia, nawet w chorobie, w chwilach ulgi, jedyną jego rozrywką było zestawianie i summowanie liczb.

Do roku 1839, w którym dopiero przedstawiono w Parlamencie bill obniżenia porto od listów, taryfa pocztowa w Wielkiej Brytanii była tak wysoka, iż przesyłano pocztą jedynie listy odnoszące się do interesów lub korespondencye miłosne. Skutkiem rażącego nadużycia, członkom rządu przysługiwało prawo przesyłania i odbierania bezpłatnie nieograniczonej liczby listów, a członkowie Parlamentu pewną oznaczoną ich ilość, w takich razach wysełający potrzebował tylko podpisać się w rogu koperty. Tak więc możni mogli korespondować z sobą darmo, a biedniejsi przeciążeni byli nazbyt wysoką opłatą. Widać zamiłowanie w rachunkach zwróciło myśl jego na liczbę listów przesyłanych pocztą w ciągu roku, ich stosunek do liczby ludności i opłatę pobieraną przez rząd: lecz i tu także przyczynił się głównie prosty przypadek.

Pewnego dnia, Rowland Hill znajdował się w licznem towarzystwie literatów i urzędników rządowych; obecny tam poeta Coleridge opowiadał iż gdy kiedyś podróżował po północnej Anglii, widział jak listonosz oddał list biednej jakiejś wieśniaczce, oczekującej na niego przed chatą. Kobieta wzięła list, obejrzała go na wszystkie strony, poczem zwróciła oddawcy, mówiąc że nie jest w stanie zapłacić należności za porto, wynoszącej jeden szeling. Oznajmiła zarazem że to list od jej brata. Zdjęty współczuciem, Coleridge, choć sam szczupłe bardzo miał wtedy fundusze, zapłacił porto i oddał list biednej kobiecinie, szczerze uradowany ze swego dobrego uczynku, ależ jakie było jego zadziwienie, gdy ta rozdarłszy kopertę, pokazała mu iż zawierała się w niej tylko ćwiartka czystego papieru. Aby uniknąć zbyt wysokiej opłaty, umówiła się z bratem iż jeźli nie zajdzie żadna zmiana w jego położeniu lub nic złego mu się nie wydarzy, będzie jej przysełał czystą ćwiartkę papieru, a niedostrzeżony znaczek na kopercie zawiadomi ją aby nie odbierała listu. Wysłuchawszy tej opowieści poety, Rowland Hill postanowił sobie koniecznie zreformować wadliwy system pocztowy, niedozwalający znosić się z sobą listownie najbliższym krewnym, jeźli nie mają majątku.

Od tej chwili myśl ta już go nie opuszczała, i gdy w r. 1835 okazała się wielka przewyżka w dochodach państwowych, co dało powód do zaciętych rozpraw w Parlamencie jak ją zużytkować i jakie zmniejszyć podatki, Rowland Hill wystąpił z wnioskiem: aby w imię dobra publicznego zmniejszyć przede wszystkiem zbyt uciążliwą opłatę pocztową. Ale jakże to trudne było zadanie, przejrzeć i sprawdzić niezliczoną ilość akt i dokumentów dozwalających obliczyć liczbę listów przesyłanych pocztą w ciągu roku i dochód wpływający za porto, tem więcej że władze odnośne zamiast dopomagać i ułatwiać, utrudniały jego poszukiwania. Chciał on przedewszystkiem uprościć administracyą pocztową i koszta jej utrzymania, aby można obniżyć porto bez umniejszenia dochodu skarbu. Był to jednak dopiero pierwszy krok na drodze mającej doprowadzić do ustanowienia marek pocztowych.

W roku 1837 Rowland Hill wydał broszurkę p. n. *Reforma pocztowa, jej ważność i możebność*, ale rząd nie przyjął jego wniosków, a publiczność zby-

wała je drwinkami. Pomimo to pozostał wierny swoim postanowieniom, pracował niezachwianie nad jego urzeczywistnieniem, popierany przez żonę która wstawała równo ze dniem, pisała co jej dyktował słowem była jego niezmordowanym i wiernym sekretarzem. Dopiero jednak w r. 1838 uznano że plan jego dałby się wprowadzić w wykonanie, a w 1839 podano do parlamentu przeszło 2000 petycyi za wnioskami Rowlanda Hill, który nareszcie przeszedł większością stu głosów. W rok później ustanowiono jednakową opłatę jednego penny, na wszelką odległość.

Gdy w 1841 torysowie wrócili do władzy, oddalono z urzędu Rowlanda pod pozorem że rząd niepotrzebuje już jego usług, choć uznaje zasługi jakie położył, cała Anglja wybuchnęła jednozgodnym okrzykiem oburzenia na tak rażącą niesprawiedliwość; i jako dowód wdzięczności i uznania, otworzono podpisy na składkę narodową, która niebawem przyniosła 18,000 funt. sterl. Za powrotem wigów do władzy, przyjął ofiarowaną sobie posadę sekretarza jeneralnej dyrekcyi poczt, i wtedy ustanowił bony pocztowe, mocą których stacye pocztowe nie przesyłają pieniędzy, ale wydają wzajemne przekazy na złożone kwoty w kasach. Gdy opuszczał służbę rządową, Skarb wyznaczył mu dożywotnią pensyą 2,000 funt. (12,000 rs.) a Parlament zawotował jako nagrodę 20,000 funt. W r. 1870 miasto Birmingham ogłosiło podpisy na wystawienie mu pomnika, i w parę dni zebrano 1500 funt. W wielkiej sali dyrekcyi poczt ustawiono ulaną z bronzu statuę tego dobroczyńcy ludzkości, a prócz tego na całej przestrzeni Wielkiej Brytani powznoszono mu pomniki, posągi, popiersia, ustanowiono stypendya, domy sierot i szpitale jego imienia, jako dowód wdzięczności współziomków. Obecnie zbierają w Londynie wielkie składki, w celu wzniesienia mu pomnika w Westminster Abbey—a jest to najwyższa nagroda i uznanie, jakiego można dostąpić w Anglii.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Paryż-Murcya.

Korespondencya z Paryża.

(Dokończenie).

Z porównania dwóch epok, rozdzielonych przeciągiem lat pięćdziesięciu, p. Molins w końcu wyprowadza wniosek, że braterstwo ludów, nie polega na ich organizacyi politycznej, ale raczej na wspólności potrzeb cywilizacyjnych, że telegraf i prasa potężniejsze są od zbrojnych armii, że dzienniki, podróże, zamiany handlowe, pielgrzymki, wystawy, uczty nawet, silniej sprzęgają narody między sobą, niż traktaty i pakta familijne. Pełen zapału Hiszpan, kończy wreszcie okrzykiem:

„La Francia es nuestra hermana de glorias y peligros!

Francya siostrą naszą w dniach chwały i niebezpieczeństw!

Wspomnijmy tu nakoniec piękny ustęp pod tytułem „Synowie don Quichota“ skreślony piórem profesora Caro. Od lat dziesięciu wymowny ten spirytualista, występuje silnie z katedry Sorbońskiej, przeciw nihilistycznym prądom, wiejącym z niemieckich szkół Schopenhauera i Hartmana. Od lat dziesięciu powstrzymuje zwycięzko tę powódź zgubniejszą stokroć niż wylew Segury na Murcyą!

W kilku gorących słowach Caro podniósł piękną postać Don Quichota, pokazał synów jego kruszących dotąd kopie w sprawie nieśmiertelnego ideału: przytaczamy tu cały ustęp.

„Murcya leży w blizkości Manssy. Stary Don Quichot, zadrżeć musiał w swym zapomnianym grobie, gdy go dobiegł rozpaczliwy okrzyk, z dotkniętych powodzią, wzgórz i dolin, zadrży też zapewne na sympatyczny okrzyk Francyi!

Umarł-że on całkiem, dzielny, zapaśnik? Bynajmniej! Zostało po nim nieodrodne a nieśmiertelne plemię. Inny dziś oręż i wróg inny, lecz porywy tego wielkiego serca zostały między nami. Kto z nas nie pamięta, owej pierwszej wycieczki Don Quichota z Sanszem.

„Było to bardzo rano, promienie słońca jeszcze nie dopiekały.“ Iluż ja znałem dzielnych, którzy jak on, w pogodny ranek, uzbrojeni od stóp do głów, wyszli śmiało na zapasy życia, gotowi służyć zawsze dobrej sprawie walczyć za znieważoną cześć i pogwałcone prawo! I dla nich wschodziła zorza pogodnej przyszłości! Ocknieni ludzie z pierwszego snu, szli naprzód, z duszą niezłomną, kołysani czarem złud anielskich, szli i dźwiękiem pieśni rozbudzali drzemiące w górach echo. Chciwi niebezpieczeństwa; wyzywali do zapasu olbrzymów, pragnęli myślą zapanować nad światem, aby go wyswobodzić od podwójnej niewoli: od ciemnoty i nędzy!

Rycerze ideału! szlachetne to plemię!... ale jakież tłumy zaciętych przeciwników, stanęły mi w drodze za dni naszych? Oto: interes, zawiść, duch pozytywizmu! Straszniejsze to wrogi, od dawnych smoków i olbrzymów, ze wszystkich stron widnokręgu, nieprzyjaciel nadciąga... gdzie rzuć okiem tłumy i tłumy!

Dziś już nie pociski lanc i szabli godzą w pierś błędnego rycerza, ale szyderstwo i podstępy, stokroć boleśniejsze od dawnych gwałtów.

Wyprawa ich rychło się kończy. Wielu z tych szermierzy, gdy z omdlałem ramieniem i piersią zakrwawioną powraca za próg domu swego, przeklina niedorzeczną bójkę, i przysięga nie mięszać się więcej w sprawy świata! Inni wytrzeźwieni z młodzieńczych szałów, wstydzą się dawnego bohaterstwa, do innego przechodzą obozu, poświęcają oręż innej sprawie! Są przecież i tacy, lecz niestety jakże ich mało którzy pielęgnują jakby najdroższy klejnot, tę szaloną miłość ideału, cel powszechnego urągowiska; nie chcą się z niej uleczyć!...

Zaprawdę mają słuszność! Ci tylko do wielkich napiętnowani czynów! Jutro dobiegną mety, jutro zwyciężą, bo nie zwątpili o tryumfie, bo nie zrzekli się wzniosłych marzeń! To są wybrańcy Boży na polu sztuk i nauk, bohaterstwa i ofiary! Tych imiona przeżyją w pamięci ludzkiej; oni uosobią wiek swój na kartach dziejów. Padł im w udziale żywot prawdy, żywot ducha, i tego nie zatracą!“

Powódź nihilizmu, nie bardzo groźny dla Francyi, skoro idealizm tak dzielnych znajduje tu rzeczników.

Rzućmy wreszcie okiem, na stronę artystyczną tej pięknej publikacyi, pierwsi malarze francuzcy wzbogacili ją całym szeregiem szkiców, w liczbie dwudziestu czterech. Czytamy pod niemi najsłynniejsze nazwiska, jak Meisonnier'a, Tony Roberta Fleury, Borguereau, Hennera, Geroma, Carolusa, Duran i inne tejże doniosłości. Wstrzymujemy się od szczegółowego opisu, trzeba mieć przed oczyma te śmiałe rzuty mistrzów; by zrozumieć ich wartość. Największy i najcenniejszy z owych rysunków, wykonany przez Gustawa Dore, tworzy stronnicę okładkową. Woda zalała całą przestrzeń, po lewej ręce sterczy niby wysepka; to dach zanurzonego domu. Garstka rozbitków znalazła tu ostoję, młoda matka tuli w objęciu dwoje maleńkich dziatek, z rąk jej spada długi różaniec, jedyna siła w niebezpieczeństwie, jedyna broń przeciw rozpaczy. Druga matka klęczy poniżej komina, na którego wierzchołku posadziła niemowlę. Z drugiej strony, krzepki Hiszpan, spogląda w przestrzeń... I oto promień słońca przedziera się przez chmury i rozstrzela po wodzie, a w tym promieniu zjawia się tajemnicza postać z rozwiniętemi skrzydły: Anioł stróż murcyjczyków głosi im wieść szczęśliwą, koniec powodzi i hojne dary braci zapirenejskich.

Ile przyniósł dochód z festiwalu, z albumu ze sprzedaży fantów, z nierozegranej jeszcze loteryi, dotychczas niewiadomo. W każdym razie liczyć go można, już nie na krocie ale na miliony. Hiszpania z wdzięcznością przyjęła dar, pod warunkiem że połowa dochodu pójdzie na poratowanie rodzin paryzkich dotkniętych twardą zimą.

Wszelkiego rodzaju plagi sypią się w tym roku na biedną ludność; nie wszędzie jednak wywołują tak wspaniałe manifestacye jaką była paryzka. Czytamy właśnie o niesłychanej klęsce głodowej na pruskim szlązku, i o działaniach filantropijnych manifestacyi berlińskiej. Dzienniki z nad Sprei ogłosiły z hałasem „wielki festyn;“ na rzecz umierających z głodu Szlązaków. Osób 1584 wzięło udział w zabawie; zebrano 2300 marek!! Szczęściem że Poznaniacie dopełniają wiernie obowiązku, względem swych nieszczęśliwych braci.

„Kowalczanka,“ powieść St. M. Rzętkowskiego, zamieszczona w Kalendarzu Illustrowanym J. Ungra na r. 1880.

W liczbie kalendarzy pojawiających się corocznie w Warszawie, wychodzi jeden który starannością wydania i nader nizką stosunkowo do swej objętości ceną, zasługuje na wyróżnienie. Jest to znany powszechnie „Kalendarz illustrowany Józefa Ungra“, Szanowni recenzenci, którzy częstokroć bardzo obszernie rozwodzą się nad lada broszurką, mają zwyczaj popularne to wydawnictwo rozchodzące się w kilkunastu tysiącach egzemplarzy po całym świecie, zbywać krótką wzmianką najczęściej li tylko do rubryki informacyjnej zastosowaną. Nie mogąc z powodów łatwych do zrozumienia wypełnić tego braku, ograniczymy się na skreśleniu oceny jednego z utworów wypełniających dział powieściowy w rzeczonej publikacyi. Jest nim opowiadanie pana St. M. Rzętkowskiego p. t. „Kowalczanka.“

Dawno nie zdarzyło nam się spotkać z powiastką tak sumiennie i wybornie opracowaną i tyle prawdy życiowej w sobie mieszczącą.

Ale przystąpmy do rzeczy:

Pan Maciej Huk, kowal z profesyi posiadał siłę ogromną, muskularne ramiona i niepomierną chęć do pracy, a choć lubił kląć „siarczystemi piorunami“ umiał się hamować w pasyi, i serce miał dobre. Szanowany przez sąsiadów, kochany przez kolegów, piastował godność członka dozoru kościelnego i urząd podmajstrzego w cechu, ale ożeniwszy się z *edukowaną* panną, byłą guwernantką, przeszedł powoli i nieznacznie pod władzę jejmości, dla której kondycya mężowska nie przypadała bynajmniej do gustu. Wszystko jednakże składało się jeszcze jako tako, dopóki jedyna ich córka Aniela, nie doszła do wieku, w którym należało pomyśleć o jej wychowaniu. Miałoż to dziecko ukochane a przez matkę wypieszczone, pozostawać wśród stuku młotem i sapania miechów kowalskich? Nie! zaprawdę, toby by-

ło nader smutną ostatecznością, zwłaszcza kiedy pokaźna sumka, ciężką pracą uzbierana, pozwalała nadania jej wyższego wychowania. Pomimo więc chwilowego oporu pana Macieja, oddano dziewczę na pensyą; dalej wszedł do domu fortepian, lekcye śpiewu; paplanie francuzkie, i cały szereg owych stopniowych przekształceń, które skromną córkę rzemieślnika zmieniają w modną a rozromansowaną panienkę. Na każdej drodze pierwszy krok tylko trudnym jest, dalej wszystko już idzie z łatwością. Szanowna majstrowa dbając o honor rodziny kazała mężowi zrzucić stary szyld i nazwać się „fabrykantem,“ zerwać stosunki z dawnemi towarzyszami rzemiosła a zarazem otworzyć dom dla wszelkiego rodzaju przybłędów; odgrywających rolę z wyższej sfery światowej paniczów; gdy zaś dawni koledzy męża oburzeni jego postępowaniem, wykreślili go z listy członków dozoru kościelnego i pozbawili godności podmajstrzego w zgromadzeniu cechowem pani Hukowa namówiła majstra do sprzedania posiadłości celem wejścia do jakiej spółki przemysłowej. Wszystko to stało się potrochu za poradą pewnego dość szykownego młodzieńca, który zalecając się do kowalczanki przyjął na siebie wszelkie pozory konkurenta. Ale panna Aniela miała na szczęście ukrytego w cieniu opiekuna który widząc co się święci, czuwał nad nią. Był nim młody czeladnik, nielitościwie odtrącony, a jednak kochający czule niezasługującą na podobny affekt majstrównę. On to szczerem przywiązaniem do swej bogdanki powodowany, odkrył że pan Ignacy człowiek żonaty a do tego były sługus, ukrywając pod pozorami małżeństwa niecne zamiary, chciał wykraść pannę i przywłaszczyć sobie okrągłą sumkę ojca; on to zebrawszy drużynę dzielnych chłopaków odbił na czas uciekającą ze swym adonisem Anielę, i przywiódł zawstydzoną wraz z odebranemi od oszusta pieniędzmi pod ojcystą strzechę.

Jakkolwiek autor z właściwym sobie taktem nie kładzie zbytniego nacisku na rozwiązanie powiastki domyśleć się łatwo można, że umysł emancypowanej dzieweczki, ostudzony na razie wstydną myślą że jej ideał obnosił niegdyś półmiski przy stole i czyścił talerze, ulegnie z czasem wpływowi jaki prawość i uczciwość połączone z hartem ducha, wywiera na spaczone lecz nie skarzone jeszcze pojęcia młodej panienki.

Będziemy więc mieli huczne wesele, co w domu „Huka“ nie powinno być nowością; eks-guwernantka rozstanie się z niewczesnemi swemi zachciankami, pan Majster powróci do młota i kowadła i wszyscy porzuciwszy dawne błędy zostaną zadowoleni swym losem.

Taką przynajmniej bywa zwykła konsekwencya wszelkich zboczeń, gdy oczy ludzkie otumanione chwilowym obłędem, otworzą się do światła prawdy.

Oto treść powiastki. Nie nową ona jest, ani też nie olśniewa czytelnika błyskotliwemi a na fantazyi opartemi epizodami, wszystkie wypadki płyną konsekwentnie jak nurty rzeki wyżłobionym od natury korytem; wszystkie charaktery działających osób skreślone są z ową werwą, życiem, prawdą jakie wlać tylko może rzeczywisty talent. Częstokroć jeden zwrot, jedno określenie wyjaśniają lepiej i dokładniej sytuacyą, niźli to uczynić zdołały długie a wodniste opisy, jednem słowem, czytając powieść pana St. M. Rzętkowskiego zdaje się patrzyć na przedstawione przez niego osobistości, doznawać ich uczuć, dzielić ich wrażenia.

Jest to skutkiem prawdy życiowej na uczynku schwytanej, a w jedrnej i ponętnej przedstawionej formie. Talent to widoczny, jako nowy na tem polu, zasługujący na uznanie a tem samem i zachętę, co nas jedynie skłoniło do rozpatrzenia się bliżej w tej acz skromnej ale udatnej pracy p. Rzętkowskiego.

Ludwik Niemojowski.

ZAKŁAD
Naukowo-Rękodzielniczy,
przy spółce połączonéj pracy kobiet,
pod kierownictwem Natalii Smólskiej.

Ulica Hr. Berga N. 9.

Przyjmuje uczennice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15, odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących dla tych osób, które z nauki swéj zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla Modystek wykładane będą: krój sukien, krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie, i część towaroznawctwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla gospodyń wiejskich: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo wiadomość o drobiu i pszczołach.

Dla poświęcających się kupiectwu: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawctwo ogólne i nadto praktyka w sklepie Spółki tak co do kupna i sprzedaży, jak i prowadzenia rachunków.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto Panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedynczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do *Administratorki S-ki Połączonéj Pracy Kobiet* Natalli Smólskiéj i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy na żądanie w wynajęciu dla uczennic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżéj wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

Czas trwania i sposób opłaty są następujące:

Nauka fachowa w grupach opłata kwartalna po rs. 45 z góry:

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa kwartałów 2, miesięcy 6.

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

Kupiectwo. Buchalterya i korespondencya handlowa, Towaroznawctwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6) a nadto praktyka przy sklepie za opłatą rs. 5 miesięcznie, czas krótszy lub dłuższy stosownie do woli uczennicy.

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedyńczych przedmiotów opłata miesięczna rs. 5 z góry:

Krój sukien	miesięcy	3
„ bielizny	„	2
stroje	„	3
rękawicznictwo	„	6
introligatorstwo	„	6
buchalterya	„	6
kwiaty sztuczne	„	6
drzeworytnictwo	„	12
zegarmistrzowstwo	„	12
heliominiatury	„	2
retuszerya	„	6
koszykarstwo	„	6
rysunki zastosowane do rzemiosł	„	6
jedwabnictwo	„	6
ekonomia domowa	„	3
koronkarstwo	„	3

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
Przygotowanie do korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po 2 godziny.

Po ukończeniu kursu, i zdaniu egzaminu, uczennice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Feliksowi Kajetanowi G. w Hryszkiszkach. Za tak przychylne i pochlebne ocenienie pracy redakcyjnej, serdeczne składamy podziękowanie. Jeżeli miłość wszystkiego co piękne i dobre przewodnicząca nam zasługuje na uznanie, to stokroć bardziej uznanie to przynależy tym, którzy miłością podobną przejęci pielęgnując ją starannie, pragną wszędzie wpływ jej rozszerzać. Dzięki Bogu nie brak ich w naszej społeczności, i nie braknie nigdy bo duch jego zachartowany w przeciwnościach, odrzuca z pogardą to wszystko co go może osłabiać i sprowadzać na bezdroża. Prenumerata całoroczna wpisaną została do kontroli.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 8 Января 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek,

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 4 r. 1880.

VILLA HORTENSIA.

przez

Antonio Caccianiga.

Przekład z włoskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

VI.

Wstawszy bardzo rano, Fiorina zasiadła w swoim pokoju przed zwierciadłem studiując najponętniejsze pozy, mające jej posługiwać do zawracania głowy ogrodnikowi, którego zajęcie się nią stanowiło jedyną jej rozrywkę w tej samotnej villi. Od czasu jak się zakochał, Franciszek nie mógł sypiać i codziennie oczekiwał na nią w cieplarni, obiecując sobie być dziś śmielszym niż dnia poprzedniego. Nareszcie ukazała mu się we drzwiach, wesoła i uśmiechnięta, i Franciszek pobiegł naprzeciw pożerając ją oczami, gdy w tem dał się słyszeć z parku turkot nadjeżdżającego powozu. Garderobiana uciekła, ogrodnik zacisnął pięście z rozpaczy, a za chwilę powóz zatrzymał się przed peronem.

Berta wstała dopiero po bezsennej nocy, pobiegła do okna i ujrzała wysiadających markiza i barona. Zaledwie zdążyła poprawić włosy i zarzuciwszy na siebie ranne ubranie, zeszła ich powitać. Wprowadziwszy ich do salonu, zamknęła drzwi od przedpokoju. Była smutna i zakłopotana; przybyli powitali ją uściśnieniem dłoni i przez chwilę nie wiedzieli co powiedzieć.

— Berto, rzekł nareszcie markiz, uzbrój się w odwagę, jakiej wymaga twoje smutne, szczególniejsze położenie,

— Miałam już czas zastanowić się nad niem i wyrobić w sobie siłę do podźwignięcia ciężaru jaki spadł na moje słabe ramiona. Proszę mówcie szczerze i otwarcie, nic nie ukrywajcie przedemną... przez te trzy dni przeżyłam co najmniej trzy lata... dziś pragnę już tylko dowiedzieć się czy mam opłakiwać jakieś nieszczęście, lub poznać prawdziwe powody tego opuszczenia.

Blada jej twarz napiętnowana cierpieniem, oczy zaczerwienione od łez, zgnękanie odbijające się w całej postaci, mówiły więcej niżby zdołała wypowiedzieć słowami.

Markiz i baron opowiedzieli jej szczegółowo wszystko co zaszło, starając się jednak złagodzić niektóre okoliczności i uczynić dla niej prawdę mniej boleśną, przedstawiając wynikłe fakta jako fatalne następstwa uprzednich, nieznanych im wydarzeń z któremi walczyć niepodobna było. Chcąc o ile można było oszczędzać miłość własną opuszczonej małżonki, zmniejszali doniosłość wyrządzonej jej zniewagi, rozmaitemi uwagami i przełożeniami. Namiętność jest ślepa, mówili; ileż to razy się zdarza iż ktoś sądzi że przestał kochać, gdy miłość jego zaledwie tylko się zdrzemnęła i nagle zbudzi się do życia, właśnie w chwili gdy najmniej mógł się tego spodziewać. Zamierzając się żenić, Cipriano działał w najlepszej wierze—i tylko to przeklęte samobójstwo pomięszało mu szyki... A było to coś tak niespodziewanego i nie dającego się przewidzieć iż prawie trudno się dziwić że zupełnie stracił głowę... Uważał sobie za obowiązek pozostać zdala od żony, aby nie pozbawiać ją możności odzyskania wolności przez unieważnienie małżeństwa... A potem znowu namowy złych ludzi, szatańska kokieterya tej bezczelnej kobiety, a może też wyrzuty sumienia i wstyd powrócenia do żony po tak nagłem opuszczeniu jej w podróży, wstręt do kłamstwa którem musiałby usprawiedliwiać przed nią swoje postępowanie,.. wszystko to razem mogło skłonić go do wyjazdu z Mediolanu.

— Czy zrobił już podanie o unieważnienie małżeństwa? zapytała.

— Oh! nie, nie! tegoby tylko jeszcze brakowało, odpowiedział markiz. On zawinił a nie ty... on jest winowajcą a ty ofiarą... nie do niego więc ale do ciebie należy żądać natychmiastowej seperacyi, a następnie wytoczyć akcyę o unieważnienie małżeństwa ..

— Do mnie! zawołała z zadziwieniem, jeźli tak nie będę z tego korzystać.

— Muszę zwrócić na to twoją uwagę, rzekł baron, że nie masz innego sposobu wyjścia z tego niesłychanego położenia...

— A więc poddam się swemu losowi; sumienie moje nic mi nie wyrzuca, cóżem winna że hrabia mnie opuścił? Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa, ale to nie upoważnia mnie jeszcze do procesowania się z tym któremu przysięgłam wierność, miłość i posłuszeństwo.

Baron słuchał z największem oburzeniem, nareszcie nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, zawołał z gniewem:

— Jakto! więc nie chcesz zrzec się męża który uciekł od ciebie z inną kobietą? Hrabia Cipriano tylko w obec syndyka i ołtarza jest twoim mężem.

— A więc w obec prawa i w obec Boga! odpowiedziała.

— No, tak... tak... ale chciejże mnie zrozumieć... nie jest to jeszcze dostateczne do ważności małżeństwa.

— Może hrabia mniej jest winnym od innych mężów, odbierających żonom miłość swoją, zrywających węzły rodzinne i znieważających zarazem żonę, matkę i dzieci; hrabia Cipriano nie odbiera mi swego serca, bo mi go nigdy nie oddał; łączy nas więc tylko związek prawny i łączyć będzie dopókąd on sam nie unieważni go prawnie. Jeźli musi nastąpić proces, niechże nie ja go wytaczam... wolno mu nie szanować swej przysięgi, ja pozostanę wierną tej jaką wykonałam.

— Zawsze byłaś dziwaczną i samowolną i żona moja słuszny sąd wydała o tobie. Zresztą myśl sobie co chcesz, przekonasz się co ci powiedzą adwokaci mediolańscy, a opiekunka twoja nauczy cię jak kobieta powinna szanować swoją dobrą sławę!

— Adwokaci nic mi nie powiedzą, bo o nic pytać ich nie będę. — co zaś do mojej dobrej sławy, możesz być pewnym, baronie że zachować ją potrafię —wspomnienie mojej nieodżałowanej matki i zasady jakie wpoiła we mnie, dostateczną są tego rękojmią... A co się tyczy mojej opiekunki, obowiązki jej skończyły się z dniem mego ślubu, i nie służy jej już prawo dawania mi nauk.

— Ale cóż przecie zamyślasz uczynić? zawołał baron rozgniewany.

— Jedno tylko co mi pozostaje... zostawiam mężowi najzupełniejszą wolność, a sama postępować będę według własnego uznania.

— A! rozumiem, zawołał baron; ale prawdę mówiąc, nie byłbym się tego po tobie spodziewał.

— Czego? zapytała z zadziwieniem, podnosząc głowę.

— Mniemałem, odrzekł pogardliwie, że jako dziewczyna uczciwa, która nigdy dotąd nie dała powodu aby o niej źle mówiono—nie pocieszysz się tak prędko po takiem porzuceniu przez męża.

— A któż panu baronowi powiedział że pocieszyłam się już po mojem nieszczęściu? lecz można odwrócić je skandalem lub nowemi zniewagami?... Ja także powiem iż miałam prawo oczekiwać innych rad—i innej pociechy. Skończmy lepiej tę bolesną rozmowę, i proszę racz mi pan baron powiedzieć wyraźnie czego wymagasz odemnie, i w jakim zamiarze przybyłeś do villi Hortensia?

— Nic nie wymagam wcale—a przybyłem po to jedynie aby cię uwolnić z tego więzienia, i w nieszczęściu twojem ofiarować dom i opiekę moją... i wyznać muszę iż mniemałem że ten mój postępek zasługiwałby na wdzięczność.

— Jestem panu baronowi nieskończenie wdzięczną, ale zdaje mi się że nie potrzebuję obecnie ani domu ani opieki jego.

— Gdzież więc zamierzasz zamieszkać? boć przecie nie masz zamiaru pozostać w villi... w obecnem twojem położeniu...

— A czemuż nie? nie jestże to dom mego męża, w którym mi zamieszkać polecił?... czyż nie jestem hrabiną de Castelbreno?... i mówiąc to, Berta dumnie podniosła głowę, jak obrażona pani domu której praw jej zaprzeczają.

Słysząc to baron zwrócił się do zdumionego markiza, i rzekł:

— Cóż na to powiesz, markizie?... cóż, czyś zaniemówił że ani ust nie otworzysz?...

— Ja! odrzekł markiz wstając i uderzając w dłonie, jakby dla oklasku, ja, nie potrafię wyrazić mego uwielbienia dla Berty.

Baron osłupiał a markiz rzekł zwracając się do Berty.

— Bravo, Berto!... bravo! bravissimo!... kocham cię i uwielbiam... Postępujesz jak kobieta godna nosić nazwisko hrabiny Castelbreno.

Po tem niespodziewanem odezwaniu się markiza, nastała chwila milczenia; Berta była zdziwiona a baron nie wiedział co powiedzieć. Nareszcie rzekł znowu:

— Więc nie lękasz się śmieszności jaką cię to okryje?

— Tylko głupcy i źli mogą śmiać się kosztem nieszczęśliwej kobiety, odrzekła, nie dbam ani o jednych ani o drugich.

— Więc koniecznie chcesz pozostać i czekać na męża który wracać nie myśli, lub jeźli wróci kiedy; sam szydzić z ciebie będzie... I stracisz przysługujące ci prawo unieważnienia małżeństwa .. i zimę całą pozostaniesz w tej pustyni na wyżynach, bez

krewnych, bez przyjaciół — ni panna ni mężatka. Dla niepojętego dziwactwa poświęcisz całą młodość swoją, uniemożebnisz sobie inne zamąż-pójście, w którem mogłabyś znaleźć spokój i szczęście.

— Wiem że smutna mnie czeka przyszłość — a choć nie z mojej winy, nie upoważnia mnie to jednak do zaparcia się mego obowiązku.

— Cóż świat na to powie?

— Świat!... wierzaj mi, panie baronie, nie warto zważać na jego gadaniny.

— Lecz jeźli dosięgnie cię obmowa lub potwarz, któż cię bronić będzie?

— Moje sumienie.

— Co na to powie moja żona?

— Pani baronowa powie że nie szanuję światowych konwenansów... że nikt z wyższego towarzystwa nie postępowałby jak ja... że tak nie przystoi... i ulży swemu sercu wypowiedzeniem tego wszystkiego, a ja zyskam na tem że wypowie to w mojej nieobecności, więc słyszeć tego nie będę.

— Więc jest to ostatnie twoje słowo?

— Jest to moje nieodwołalne postanowienie.

— Które ja pochwalam i uwielbiam, rzekł markiz.

— A ja bezwarunkowo potępiam! dodał zniechęcony baron.

— Jeźli przekonanie moje jest mylne, do nikogo żalu mieć nie będę, rzekła Berta.

— Więc podróż nasza daremna—odprawiasz nas do Mediolanu?

— O nie! znana gościnność domu hrabiów Castelbreno, nie pozwala mi tak panów puścić bez śniadania. I zadzwoniła.

Fiorina ukazała się na progu.

— Każ przygotować śniadanie! pan markiz i pan baron raczą pozostać ze mną na śniadaniu, rzekła Berta.

Panna służąca odeszła spełnić rozkaz.

— Ślicznie! szlachetnie! wybornie! wołał markiz w zapale uniesienia. Ach! gdyby był tu teraz mój w głowę postrzelony synowiec, jakżeby pragnął zasiąść z tobą do stołu, jakżeby dumnym był ze swej żony!... Nie wygłaszam przepowiedni... nie wiem co przyszłość zgotować nam może... ale obecnie wyznać muszę że pochwalam i uwielbiam postępowanie Berty.

— Bravissimo! panie markizie, rzekł baron; przyjeżdżasz ze mną jako sprzymierzeniec—a znajduję w tobie przeciwnika który z bronią i bagażami przechodzi do nieprzyjaciela.

— Źle sobie tłomaczyłeś moje przymierze, baronie... nie przybyłem tu bynajmniej aby sprzeciwiać się postanowieniom mojej synowicy, ale aby, o ile to w mocy mojej, otoczyć ją współczuciem i opieką.

Wtem drzwi się otworzyły; służący w czarnym fraku i w białej chustce na szyi, przyszedł oznajmić że już podano do stołu. Markiz podał rękę Bercie, baron szedł obok niej i tak weszli do jadalnej sali. Hrabina zajęła miejsce między markizem i baronem, śniadanie było wykwintne i smaczne, i goście musieli podziwiać wzorowy porządek materialny, tam gdzie panował taki chaos i niepokój moralny.

Świeże powietrze i podróż dodały im apetytu. Markiz był przekonany że zmartwienie opróżnia żołądek i osłabia i pragnął pokrzepić swe siły: baron był pewny że żona ostro potępi jego postępowanie i słabość charakteru, a szczególniej za złe mu weźmie że w podobnych okolicznościach przyjął śniadanie w villi, — ale dotknięci podagrą bywają zazwyczaj łakomi, i żadne wydarzenie nie jest dla nich tak ważnem, aby ich miało zniewalać do wyrzeczenia się smacznego śniadania. Baron zajadał z poważną miną, markiz z widocznem zadowolnieniem, i od czasu do czasu spoglądał z rozrzewnieniem na młodą hrabinę, która z taką prostotą i siłą charakteru, poddała się swemu losowi. Podczas śniadania mówiono o rzeczach obojętnych, aby służba nie posłyszała czegoś i nie dopełniała tego swemi komentarzami, a gdy po kawie zostali sami, markiz rzekł do hrabiny biorąc ją za rękę:

„Droga, kochana Berto, w tem twojem nieszczęściu nie oskarżasz mnie, nie czynisz odpowiedzialnym za niecną wyrządzoną ci zniewagę; przywitałaś mnie życzliwie i z dobrocią, dowodzącą że uznajesz mnie za stryja. Jestem ci za to niewymownie wdzięczny i odjeżdżam dumny z tego że jesteś moją synowicą. Zawsze uwielbiałem cię i byłem twoim przyjacielem; wprowadzając cię do mojej rodziny, pragnąłem i spodziewałem się zapewnić ci szczęście—szaleniec ten zawiódł oczekiwania moje. Obecnie obowiązkiem jest moim dać ci wszelkie możebne z mej strony zadość-uczynienie, i dla tego proszę cię najusilniej uważaj mnie nie już za stryja, ale za najprzywiązańszego ojca; rozrządzaj moją osobą, domem, majątkiem, znajdziesz mnie zawsze gotowym na wszystko co ci się zażądać spodoba.

Berta podziękowała mu w gorących wyrazach i serdecznie ścisnęła dłoń zacnego starca, przyrzekając że nie zaniedba zażądać jego opieki w razie potrzeby.

— Liczę na to, odrzekł markiz Castelbreno. a jako pierwszy dowód twego zaufania, przyjm gościnność w domu moim w Mediolanie, który oddaję do twego rozporzędzenia. Uczyń jak zechcesz, albo jedź razem z nami, albo przyjedź sama za dni kilka, ja zastosuję się do twoich rozkazów.

— Dziękuję ci serdecznie, mój dobry stryju; brak mi słów na wyrażenie mojej wdzięczności, i może kiedyś będę mogła korzystać z twego zaproszenia, ale obecnie jest to zupełnie niemożebnem,—nie powinnam opuszczać domu męża... Polecił mi czekać tu swego przybycia, nie mogę więc opuścić tego domu bez jego zezwolenia... Odwiedzaj mnie jak najczęściej, kochany stryju, a ilekroć obecność twoja przerwie moją samotność, będzie to dla mnie prawdziwą pociechą.

— Droga, kochana Berto, zima zbliża się wielkim krokiem, a jam stary i zimno powiększa dolegliwości i cierpienia moje; przeraża mnie sama myśl wyjazdu na wieś w zimie. Sądzę że najlepiej będzie jeźli przeniesiesz się do miasta... cóż może cię zatrzymywać w tej pustyni gdy ją jeszcze śnieg pokryje?

— Obowiązek, odrzekła Berta, a jego głosowi zawsze posłuszną będę... Pod tym względem nie mogę mieć własnej woli, i tylko na wyraźny rozkaz męża dom ten opuszczę.

— Napiszę do niego i zawiadomię go o wszystkiem, rzekł markiz. Zadziwi się niepomiernie i zniewolony będzie uwielbiać twoje postępowanie!... Pewny jestem że pożałuje szalonych swoich wybryków; pozna teraz gdzie może znaleźć prawdziwe szczęście, i przybędzie upaść do nóg twoich... zobaczemy go tu może prędzej niż się spodziewamy. Zazwyczaj takie nieprawe namiętności nie bywają trwałe, noszą w sobie zatruty zarodek zniszczenia... Cipriano powróci żałujący i zawstydzony... w przeciwnym razie byłby chyba najwierutniejszym łotrem i niedołęgą!...

Baron słuchał z gorzkim uśmiechem i rzekł zimno:

— Oboje jesteście w błędzie. Tobie, Berto, brak poczucia własnej godności, a tobie, markizie, zdrowego sądu o rzeczach i ludziach; oboje zapatrujecie się z fałszywego stanowiska, i otwieracie pole nowym strapieniom i zniewagom. Dobrze jest gdy opuszczony ojciec czeka powrotu marnotrawnego syna—inna rzecz gdy chodzi o prawą żonę. Najlepiej, jak na teraz zostawmy wszystko w zawieszeniu; nie układajmy projektów, nie przedsiebierzmy żadnych postanowień. Wracajmy do Mediolanu, aby tam zasięgnąć rady najbieglejszych prawników; nie należy działać zbyt pośpiesznie w sprawach tak ważnych, połączonych z interesami majątkowemi i zawikłanemi przynależytościami... Działajmy i myślmy o przyszłości rozważnie i przezornie.

Zadzwoniono na Fiorinę aby kazała zaprzęgać. Jak tylko markiz i baron weszli do salonu, garderobiana ostrożnie podsunęła się podedrzwi aby się dowiedzieć o co chodzi, i z dosłyszanych urywków, rozmowy zrozumiała że opiekun i stryj hrabiny, przyjechali w celu zabrania jej do Mediolanu. Niewymownie zmartwiona tą wiadomością, pobiegła co prędzej do Franciszka; ponieważ hrabina mogłaby odjechać za godzinę, więc nie miała czasu do stracenia, a nie chciała postradać poczciwego Tyrolczyka, teraz właśnie gdy już miała na dobre złapać go w zastawione sidła.

— Franciszku! Franciszku! wołała, chodź prędko! wielkie zagraża nam nieszczęście... może zmuszona będę odjechać!

— Odjechać! zawołał zgnębiony—odjechać!... to być nie może!...

— Przeciwnie, zapewnie tak będzie... Ci panowie przyjechali po moją panią, pewnie powróci do Mediolanu... i ja nie będę już mogła patrzeć na te śliczne kwiaty które tak polubiłam..." i zaczęła ocierać oczy fartuszkiem.

Franciszek skrzywił się pociesznie, spuścił oczy, uderzał fajką o ścianę i jak zwykle słów mu brakło aby coś przemówić.

— Tak mi tu było miło i dobrze!... mówiła znów Fiorina; tak polubiłam ten piękny ogród, upajające wonie tej cieplarni... Nie będziesz mi już dawał takich ślicznych bukietów, i może już nigdy, nigdy się nie zobaczemy... Ale powiedzże, Franciszku, czy ci to tak zupełnie obojętne że jestem zmuszona odjechać?...

Franciszkowi serce się ściskało, brakło oddechu w piersiach; zerwał gwałtownie chustkę z szyi i rzucił na ziemię.

— Odpowiedz że przecie, mówiła Fiorina: czy przybędziesz odwiedzić mnie w Mediolanie?

— Przysięgam to! odrzekł stłumionym głosem.

— Zaraz po przybyciu tam, przyślę Franciszkowi mój adres, bo teraz nie wiem jeszcze gdzie mnie los poniesie.

Podczas gdy zakładano konie, Franciszek stał przed cieplarnią, niespokojny i drżący z obawy, aby mu ci panowie nie zabrali jego najpiękniejszego, najmilszego kwiatu.

Niezadługo Fiorina, zwinna i wesoła ukazała się przed bramą pałacową; ujrzawszy ją taką jakąś swobodną i ożywioną, słodka nadzieja zbudziła się w jego sercu; zwrócił na nią wymowne spojrzenie, pytające wyraźnie: Czy odjeżdżasz?

— Zostaję!... rzekła radośnie i z tak ponętnym uśmiechem iż ogrodnikowi zdawało się że promień słońca zajrzał do jego duszy.

Hrabina odprowadziła gości na peron; odjechali pożegnawszy ją serdecznie.

VII.

Za powrotem do Mediolanu, tak baron jak markiz zaledwie zdołali uspokoić niesłychane oburzenie baronowej, gdy dowiedziała się o powziętem przez Bertę postanowieniu. Daremnie przedstawiali jej że przecież niepodobna było uciec się do gwałtu względem kobiety która tak jasno i energicznie objawiła swoją wolę, i nie chciała słuchać ani rad ani przełożeń.

„Ona nas wszystkich okryje niesławą!... wołała. Nigdy jeszcze w wyższem towarzystwie nie było przykładu podobnej bezczelności!... Co za szalone postanowienie!... trzeba było koniecznie przedstawić jej całą jego śmieszność i niestosowność. Muszę sama pojechać... przemówię do niej jak należy... Niepodobna ulegać jej dziwactwom... postępowanie Berty przechodzi niecny postępek hrabiego. On uciekł z kochanką—no! to się jeszcze daje widzieć —ale żeby żona czekała na niego—a! to już za wiele! to przechodzi wszelkie granice towarzyskiej przyzwoitości... A zwracając się do męża dodała: Wstydź się baronie, nie jesteś mężczyzną ale marionetką; jakby małe dziecko dozwalasz tej waryatce przewodzić nad sobą, ulegasz markizowi który grzeszy niepojętą pobłażliwością. Lekceważysz honor rodu i ściągasz tem na siebie straszną odpowiedzialność w obec całej szlachty mediolańskiej. Skalałeś naszą herbową tarczę—zostaniesz potępiony przez całą arystokracyę!...“

Markiz i baron, chcąc uniknąć tego gradu groźb i wymówek, zmuszeni byli ratować się ucieczką.

Aby zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność, baronowa rozpowiadała całe to zdarzenie swoim znajomym i przyjaciółkom, urozmaicając opowiadanie złośliwemi uwagami; te wyszedłszy od niej powtarzały wszystko z różnemi wariantami, mężom, braciom i przyjaciołom. Baron odbywał narady z adwokatami; markiz potępiał synowca, a bronił i wynosił pod niebiosa jego żonę,—dość że niebawem cały Mediolan wiedział o tej dziwnej przygodzie, spotęgowanej najniedorzeczniejszemi komentarzami i dodatkami, obmyślonemi umyślnie w celu podniesienia lub osłabienia ważności faktów, a to odnośnie do współczucia lub niechęci opowiadających.

Pewnego wieczora kilku młodzieży siedziało w klubie około kominka, rozpowiadając sobie najświeższe nowiny. Z listów odbieranych z Wenecyi dowiedziano się że zbiegły małżonek i piękna samobójczyni cieszą się tam wielkiem powodzeniem, budząc ogólną ciekawość i podziw.

Każdy pragnął poznać lub choćby zobaczyć bohaterkę mediolańskiego dramatu, i Sara była zawsze otoczona licznym hufcem wielbicieli, pociąganych palącym blaskiem jej oczu, nieprzepartym urokiem całej postaci, maleńkiemi nóżkami, rękami rzadkiej piękności, niebieskawym odbłyskiem hebanowych włosów, śliczną twarzyczką i niezrównaną delikatnością płci. Aby ujrzeć ten cud nad cudami, biegano wszędzie gdzie można było ją spotkać, do kawiarni, na przechadzki po placu i nad brzegiem morza; przypisywano jej bajeczno-fantastyczne przygody, którym jej palące, urokliwe spojrzenia dodawały prawdopodobieństwa.

Hrabia dumny był z tych składanych jej hołdów, usprawiedliwiających jego namiętność i zarazem zadawalniających jego pychę i próżność. Sara nie dawała mu chwili wytchnienia, można ją było spotkać wszędzie, na spacerach, zabawach miejskich, w teatrach; objawiała coraz dziwaczniejsze fantazye i zachciewki, które Cipriano zadawalniał ze ślepem posłuszeństwem. Już to ukazywała się w *la Fenice* jaśniejąca pięknością i wdziękiem, w gustownej i wykwintnej toaleaie, lśniącej od brylantów i drogich kamieni; lub znowu otulona w sobolowe futro, znaczną część nocy spędzała w gondoli, napawając się tajemniczym blaskiem księżyca odbijającego się w kanałach, posępnemi cieniami starożytnych pałaców i złoconemi odbłyskami odzwierciadlających się w głębi fal pochodni gondoli. W rannych godzinach przejeżdżała się konno po ruchomych piaskach nadbrzeżnych, zapatrzona w nieskończone morze, uszczęśliwiona że nogi jej wierzchowca, depczą jego rozbijające się fale. Wyprawiała nadzwyczaj wystawne obiady, zapraszając na nie swych francuzkich i mediolańskich przyjaciół bawiących w Wenecyi oraz różne przedstawiane jej osoby. Już to przyjmowała gości w białej koronkowej sukni, wygorsowanej i z krótkiemi rękawkami, przybranej diamentami i perłami, już znowu przywdziewała czarną aksamitną, zapiętą pod szyję, przybraną koralami i takiż diadem na głowie—a zawsze była olśniewająco piękną, piękną jakąś urokliwą i straszną pięknością.

Nagadawszy się o różnych fantazyach i dziwactwach kurtyzanki, członkowie klubu zaczęli rozwodzić się nad szczególniejszem postanowieniem prawej żony hrabiego, aby zagrzebać się na szczycie samotnej śniegiem pokrytej góry, w starym pałacu stojącym w głębi parku, którego nagie drzewa wyglądały jak szkielety, wyciągające ramiona ku szaremu niebu. I zazdroszczono hrabiemu Cipriano tak nadzwyczajnego szczęścia, że aż dwie kobiety kochały go tak szalenie.

Najwięcej może rozmowa ta zajmowała sir Norwich'a, którego przyjaciele jego uważali za główną sprężynę tego dramatu, w którym dość smutną odegrał rolę. Anglik słuchał przycinków obojętnie, kiwając tylko głową od czasu do czasu, jakby dając tem do zrozumienia że nie wszystko się jeszcze skończyło.

„My, Anglicy, mówił, nie jesteśmy jak Włosi kąpani w gorącej wodzie, ale jednak zawsze przybywamy w porę, a często trafniej od was. Jeżli myślicie żem dał za wygranę, to się bardzo, bardzo mylicie... kto chce, trzymam z nim zakład choćby o największą summę, że jedna z dwóch kobiet będzie moją.

— Jakto? z jakich dwóch?

— Jedna z tych pań o ktorych mówicie... albo żona, albo kochanka.

— Oho! szanowny panie, to trochę za trudne przedsięwzięcie.

— Dwie aż kobiety, to za wiele na raz, tak dla mnie jak dla hrabiego Cipriano; podzielemy się więc, każdy będzie miał jedną. Los rozstrzygnie która komu ma się dostać.

— Ta! ta! ta! rzekł jeden z opponentów: Co do kochanki, jest to zamiar nader do wykonania trudny, a co do żony, można zapewnić z góry że najzupełniej niemożebny.

— Przeciwnie, wszystko właśnie dozwala przypuszczać że z tej strony przedstawiają się większe szanse powodzenia. Pani hrabina jest sama... opuszczona... i kto wie czy nie pragnie gorąco pomścić się swej zniewagi... W tem oczekiwaniu jutro zaraz zamyślam zamieszkać w Monza, w hotelu *pod Sokołem*, gdzie dotąd zatrzymałem mój apartament, powozy i konie. Mam tam wielu przyjaciół, z któremi często jeżdżę na polowania. Ustanawiam tam zatem moją główną kwaterę obserwacyjną i rozpoczynam przygotowania do oblężenia w niewielkiej odległości od villa Hortensia. Z mojego stanowiska będę wiedzieć co się tylko dzieje i mówi w villi, a w razie sposobności nie omieszkam z niej korzystać...

— Oh! oh! Sir Tommy, jest to nader niebezpieczne przedsięwzięcie.

— Eh! może będzie tak łatwe że się nawet nie będę miał czem pochlubić.

— A jeżli hrabia powróci do żony?

— W takim razie zostanie mi kochanka. Jestem tak uprzejmy iż zostawiam mu wybór; poprzestanę na tej której on nie zechce.

— Jednakże, której dałbyś pan pierwszeństwo, gdybyś mógł wybierać? zapytał ktoś ciekawy.

— Trochę drażliwe pytanie... Obiedwie są bardzo piękne, choć całkiem różną pięknością... blondynka podobna do anioła, brunetka do szatana. Młoda hrabina ma w sobie coś idealnego, druga odznacza się pięknością kształtów, plastyczną poezyą kobiety. Hrabina Berta jest Włoszką średniowieczną, Sara tegoczesną Paryżanką.

— A gdyby też ten dyabeł Cipriano potrafił tak się urządzić żeby zatrzymał obiedwie.

— To być nie może! w naszych czasach ani prawa ani kobiety nie tolerują wielożeństwa! Nie wypowiadam wojny mężom, bo to zanadto pospolite i triwialne — ja pragnę tylko być pocieszycielem opuszczonych kobiet. Jeżli ktoś chce posiadać dwie żony, wyniknie z tego jedno z dwojga: albo sądy albo zazdrość wmięsza się w taką sprawę. Bystrzejsza zmiarkuje niebawem że jest zdradzaną, oburzona wpada w złość i pragnie się zemścić. Jak wszyscy myśliwi nie mający cierpliwości szukać kuropatw w ich gniazdach, ja także strzelam do przeciągających podczas burzy... Słowém, w żaden sposób nie mogę pozwolić na to aby mój współzawodnik miał dwie żony; tak być nie powinno i nie będzie— i dla tego zakładam się z każdym kto chce że mu odbiorę jedną z nich.

Nikt nie chciał trzymać zakładu; jedni uśmiechali się z niedowierzaniem, inni zachowali potępiające milczenie, nikt nie chciał mieszać się w podobną sprawę. Nareszcie jeden z blizkich znajomych sir Norwich'a, rzekł mu:

— Sir Tommy, jesteś piękny i posiadasz najpotężniejsze moralne i materialne środki, z których pomocą wszystkie drzwi stają otworem; radzę ci jednak bądź ostrożnym; dla prostej przechwałki nie narażaj się na gniew hrabiego Cipriano, — jest to człowiek straszny w swej gwałtowności... bądź przezornym

— Jestem szlachcicem i fatalistą, odrzekł Anglik: muszę posiąść jedną z nich za jakąbądź cenę, a skoro nikt z was, panowie, nie chce trzymać zakładu, więc daję wam na to słowo honoru... Czuję że tak jest zapisane w przeznaczeń księdze, a co sądzono, stać się musi.

Nadeszło wielu nowych członków klubu i rozmowa się przerwała.

Świadkiem jej był jeden z przyjaciół Cipriana; ten uznał stosownem zawiadomić go zaraz o zamiarze objawionym przez sir Norwich'a, i doniósł mu do Wenecyi treść rozmowy mianej w klubie, dodając jednak: że Anglik był wówczas po bardzo sutej wieczerzy, przy której pił nad miarę dla podtrzymania honoru narodowego, zatem nie mógł być odpowiedzialny za niedorzeczności wypowiedziane w kółku zaufanych przyjaciół. List ten pisał on głównie w tym celu aby zawiadomić hrabiego Cipriano do jakich rozmów i zamiarów dawał powód.

i nakłonić go tem samem, aby unikając nowych skandali, raz już wyszedł z tak anormalnego położenia.

VIII.

Nie zastawszy już hrabiego Cipriano w Mediolanie, doktór Valentino Gabrielli powrócił do Brianza mocno zakłopotany, udał się zaraz do villi Hortensia, sam nie wiedząc co ma powiedzieć. Znalazł Bertę spokojną na pozór, gotową oczekiwać z poddaniem mogących zajść wypadków, i zajętą urządzeniem sobie w tej pustyni, znośnego przynajmniej życia. Zażądała z Mediolanu wyborowych książek, a gdy doktór oddawał na jej usługi całą swoją bibliotekę, prosiła aby sam wybrał z niej dzieła które za stosowne dla niej uważał i oznaczyła sobie czas na każde zajęcie, jak wówczas gdy jeszcze była hrabianką d'Anzano. Każda godzina dnia miała swoje przeznaczenie; zawsze o jednej wstawała, potem z kolei następowało śniadanie, nauka, przechadzka, obiad, roboty ręczne, zajęcia domowe i udawanie się na spoczynek. Służbie wyznaczyła także codzienne zajęcie, nie zapominając zostawić im czasu na jakąś rozrywkę lub odpoczynek. Osamotniony pałac stał się rodzajem Tebaidy, elegancką pustelnią, w której zamiast pustelnika z długą brodą i wygoloną głową, odzianego w gruby habit przepasany sznurem i obutego w sandały, osiadła młoda piękna i wiotka kobieta, której głowę zdobiła korona jedwabnistych blond włosów, kształtną postać osłaniał skromny ale elegacki ubiór, a małe nóżki zgrabne paryzkie buciki. Ale pod tą światową powierzchownością młodej samotnicy, kryła się dusza złamana boleścią i serce zatrute goryczami życia.

Doktór nie ukrywał zdziwienia jakiem go przejęło postanowienie Berty, odpowiedziała mu na to:

„W trudnem mojem położeniu nie mogę postąpić inaczej. Sądzisz pan może iż lepiej byłoby abym ja, biedny rozbitek wyrzucony na tę samotną wyspę gdzie przynajmniej mogę żyć spokojna, puściła się na zdradliwe fale towarzyskiego morza, bez żagli, bez rudla, bez bussoli i bez stanowiska?... lub wróciła znowu pod nieznośne jarzmo mej opiekunki aby na nowe narazić się rozbicie?... O nie, nie! stokroć nie... wolę pozostać na mojej samotnej wyspie, jest to najstosowniejsze miejsce pobytu dla opuszczonej kobiety, pragnącej najgoręcej unikać nielitościwych spojrzeń i szyderskich uśmiechów świata... Stanę się dla kobiet Robinsonem Crusoe, wszelkie zdolności moje zwrócę ku temu abym zdołała wyżyć w tej pustyni. Od śmierci matki mojej jakże wiele wycierpiałam zostając w otoczeniu niezgodnem z moim charakterem, pod władzą kobiety ograniczonej, ceniącej wszystko jedynie z powierzchowności, która chciała koniecznie przekształcić mnie na podobieństwo swoje, zabić moje serce, zwichnąć umysł, zamykając go w ciasnych granicach swych pojęć. Stokroć przekładam samotność nad jej towarzystwo i nieustanne reprymandy... Prawdę mówiąc, to niezasłużone więzienie nie jest mi zbyt przykrem; mogę patrzeć bez niebezpieczeństwa i niepokoju na fale morza ludzkiego rozbijające się u stóp moich... mogę żyć z memi myślami i drogiemi wspomnieniami... i spokojnie oczekiwać przyszłości spoczywającej w mocy Boga.

Doktór patrzył na nią nie mówiąc ani słowa i zdawał się zatopiony w głębokiem rozmyślaniu.

— Nie odpowiadasz mi pan, może nie pochwalasz mego postanowienia i nie śmiesz mi tego objawić. proszę bądź pan szczerym; jako najlepszy i najzaufańszy przyjaciel mego męża, masz prawo sądzić moje postępowanie, powiedzieć mi słowa prawdy... Chciej i moim zostać przyjacielem... a wszak dowodem prawdziwej przyjaźni jest szczerość i otwartość.

— Słucham uważnie słów pani... zastanawiam się, badam... i nie rozumiem cię... Zdawało mi się że znam kobiety, a teraz zmuszony jestem wyznać że i pod tym względem jestem zupełnym nieukiem.

— Może to jest powodem żeś się pan nie ożenił?

— To że jestem nieukiem?

— Cóż znowu!... to że nie bardzo pochlebnie trzymasz o kobietach.

— Nie mogę temu przeczyć. Dotąd jedną tylko matkę moją czciłem i kochałem, i straciwszy ją żadnej kobiety nie uznawałem godną zająć jej miejsce w mojem sercu i w moim domu. Nie chciałem aby mury uświęcone cnotami tak świętej kobiety, zostały sprofanowane przez płochość, fałsz, próżność, samolubstwo, jakie spotykam zawsze i wszędzie... Podzielam zdanie pani — wolę samotność!...

— I pędzisz pan życie w pośród ksiąg swoich?

— Tak, pani.

— Zresztą jako doktór oddajesz się pan przeważnie badaniu nauk przyrodzonych; jesteś opatrznością chorych.

— Badam życie... i przekonywam się że wszędzie jest ono zakłócone. nawet u najniższych stworzeń, niewidzialnych gołem okiem. Badam przyrodę i staram się przeniknąć jej tajniki za pomocą teleskopu i mikroskopu — a niezmierzoność jej olśniewa mnie i upokarza. Gdy znużony dostrzeżeniami, uczuwam że niewdzięczne badania wyczerpały moje umysłowe siły, gdy poznaję że praca moja była daremną, powtarzam sobie że sławny mój mistrz Bufalini miał zupełną słuszność gdy mi mówił: „Mój przyjacielu. nie wiemy nic, zupełnie nic!"

— Życie to wielka, wielka tajemnica! rzekła Berta głęboko zamyślona, ale zdaje mi się że uczeni na błędne schodzą drogi! Zagłębiając się w uczonych dochodzeniach aby zbadać zasadę natury, zniweczyli w sobie jej poczucie. Tak było i z Bufalini'm... Gdzie go pan znałeś?

— W jego klinice. Po skończeniu uniwersytetu w Padwie, odbyłem podróż po Włoszech, i zatrzymałem się parę tygodni we Florencyi, aby słyszeć wykład tego znakomitego uczonego, który zaszczycał mnie swoją życzliwością. Tam to przekonałem się o nicości wielu nauk i o bezsilności rozumu ludzkiego... Nic a nic nie wiemy!... widzimy zaledwie dostrzeżoną cząsteczkę wszechświata, a czemże ona jest w porównaniu z tem czego nie widzimy? Natura pełna jest czarnych i głębokich otchłani, w obec których wszelka przenikliwość jest ślepotą, śmiałość, lękliwością, ufność zniechęceniem. Nic nie wiemy, niestety!... Któż zdoła powiedzieć gdzie się życie zaczyna a gdzie kończy?... Co jest śmierć?... Ciągle patrzę na umierających, a dotąd nie umiem wytłomaczyć sobie co to jest śmierć...

— Śmierć — odpowiedziała nieśmiało Berta, to przejście z doczesnego do wiecznego życia.

— A skądże pani wiesz o tem?

— Tak nauczają najznakomitsi teologowie, filozofowie, tak każe nam wierzyć religia i sumienie!

— Daruj pani, ale jednoczysz rzeczy nie dające się z sobą pogodzić. Mięszasz pani teologów z filozofami, wiarę z metafizyką... Nie zdołamy się więc zrozumieć... ja mogę mówić tylko o nauce i pozytywnych badaniach i naukach przyrodniczych — po za tem nic nie znam i nic mnie nie obchodzi.

— Więc nie wierzysz pan w życie przyszłe?

— Niestety! nie wierzę. Gdybyś pani mogła przekonać mnie niezbitemi dowodami że istnieje dla nas inny świat i drugie życie, przekonanie to wprawiłoby mnie w niewysłowione upojenie, bo przerażającą, straszną jest myśl o nicości... Dowiedź mi pani że ze śmiercią nie kończy się wszystko, a staniesz się aniołem pocieszycielem który zstąpił z nieba aby oświecić mnie i umocnić.

— Trudne to bardzo dla mnie zadanie, bo nie znam zupełnie języka naukowego. Nie jestem ani przesądna ani zabobonna ale wierzę, wierzę głęboko. czuję w sobie jakiś tajemny głos mówiący mi że nie kończy się wszystko z naszem doczesnem życiem... że musi istnieć coś po za grobem... ale nie wiem, nie umiem tłomaczyć się jaśniej... Oto, jeźli na przykład, myślisz pan o matce swojej, czyż nie uczuwasz wpływu jaki ona na umysł twój wywiera, tego węzła którego śmierć zerwać nie zdołała. który łączy się zawsze z tą duszą nieobecną... nieobecną a nie zapadłą w nicość!

— Pani hrabino, wszystkie podobne wrażenia wynikają z naszego serca, z istniejącego w nas uczucia, z pamięci naszej, z nauk odbieranych w młodocianych latach, są to miłe wrażenia i wzniosłe myśli, stanowiące rzeczywiste dla nas dobro... Zachowaj pani te zbawienne wierzenia... nie tylko nie chciałbym ich stłumić w tobie, ale nawet pragnąłbym szczerze módz je z tobą podzielać... Ale wierzaj mi, hrabino, w obec nauki wszystko to jest niczem — zupełnie niczem!

— A! jakie to smutne co pan mówisz!... O! gdybym mogła przelać w ciebie moją wiarę, moje pojęcia i poczucie nieskończoności... jakżebym była szczęśliwa!

— Po cóż ja wdaję się w takie nie zajmujące i zbyt abstrakcyjne dowodzenia. Sam nie wiem jak mimowolnie wpadłem na ten przedmiot... przez to ciągłe ślęczenie nad księgami stałem się nieznośnym pedantem!... A wiem przecie że nie jest to odpowiedni przedmiot do rozmowy z kobietą.

— Mylisz się doktorze; wszystko co zajmuje myśl i umysł jest mi pożądanem, bo dozwala mi zapomnieć o smutnem położeniu mojem. Zajmują mnie podobne badania, lubię słuchać uczonych mówiących o rzeczach poważnych... a pan mówisz z taką prostotą, iż i profanom łatwo cię zrozumieć. Gdyby to można abyś mi pan dał cząstkę swej wiedzy... w zamian za cząstkę mej wiary!...

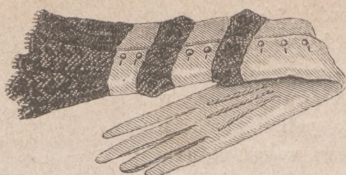
— Byłoby to niekorzystne dla nas obojga; pani straciłabyś wiele, wiele swoich złudzeń, a ja cały owoc długich moich prac i badań... Ale dajmy lepiej pokój tym nierozwiązalnym kwestyom — mówmy o czem innem.

— I o czemże mówić będziemy?... Właśnie tylko rzeczy poważne odpowiadają smutnemu stanowi mojej duszy, jakoteż tej samotnej ustroni i posępnej jesiennej porze. Patrz pan tylko jak stada kruków tych zwiastunów smutnych losów, przeciągają w zwartych szeregach pod zasępionemi obłokami; liście opadają z drzew, przymrozek zapowiada zbliżającą się zimę... i nie jestże to najwłaściwsza pora aby mówić o śmierci?

(d. c. n.)

Opis do N-ru 4.

N. 1. Rękawiczka jasna, ozdobiona bufkami i oszyciem z czarnej marszczonej koronki.



N. 1. Rękawiczka ozdobiona koronką.



N. 7. Kokarda z dwojakiej wstążki.



N. 2. Strojny czepeczek z bastu jedwabnego w deseń turecki. Patrz ryc. 23.



N. 4—6. Trzy kołnierzyki dla dzieci.



N. 3. Strojny czepeczek. Patrz r. 22.

N. 8. Kokarda ze wstążki i koronki.



N. 9. Wałek pod głowę. Patrz ryc. 10.



N. 11. Stanik z okrągłym wykrojem do sukni balowej.



N. 13. Modny guzik.



N. 14. Modny guzik.

N. 12. Stanik wycięty kwadratowo do sukni balowej.

N. 2 i 23. Czepeczek z bastu jedwabnego w deseń turecki.

Upięty jest z trójkąta którego proste brzegi mają 45, a skośny 67 cent. długości. Proste brzegi od rogu zeszywa się na 38 cent. długości, następnie wykłada przez długość zeszycia w tył, przyczem z obydwóch stron tworzy się fałda złożona do środka. Brzeg skośny podwija się trochę do spodu, przyszywa do czółka i garniruje wraz z pozostałemi kawałkami prostych brzegów koronką plisowaną, 5 cent. szeroką; następnie wystające z obydwóch stron rogi są w środku czepka pod spuszczonym rogiem przyfałdowane; 3 centym. szeroka wstążka wstążka w atłasie, z jednej strony ponsowa z drugiej oliwkowa z brzeżkami złotemi, stanowi ubranie wskazane na ryc. 2. Odpowiednią kokardę do kołnierzyka podajemy na ryc. 23.

N. 3 i 22. Czepeczek strojny z materyi w prążki różnokolorowe.

Układa się ze skośnego kawałka materyi, mającego 14 cent. szerokości a 50 długości, któren po ścieciu końców podług prostych nitek, ma w górnym brzegu tylko 24 centym. długości. Dłuższy brzeg materyi garniruje się trzy razy fałdowaną, trochę jedna na drugą zachodzącą koronką „d'esprit," 3 cent. szeroką i przyszywa gładko do czółka. Poprzeczne brzegi raz koronką oszyte schodzą się w środku z tyłu, a u dołu złączone są kokardą z pięciu długich pukli i węzła, zrobioną ze wstążki 3 centym. szerokiej, z jednej strony pawiego z drugiej karmazynowego koloru. Górny brzeg materyi układa się w cztery fałdy, przykryte sześciu puklami ze wstążki. Krawatową kokardę układa się w fałdy na ryc. 22 wskazane z dwóch kawałków materyi 38 cent. długich, od dołu z 10 cent. szerokości ściętych skośnie do czterech i oszyty plisowaną koronką, 6 cent. szeroką.

N. 4—4. Kołnierzyki dla dzieci.

Szyte są z potrójnego materyału; wierzch stanowi cienkie płótno. Ryc. 4 przedstawia kolisty kołnierzyk z wywiniętemi górnemi rogami, ozdobiony w środku wpuszczonym i przystębnowanym szlaczkiem 1 i pół cent. szerokim, wyszytym bawełną ponsową i szafirową. Do wiązania służą sznury z kwastami, w kolorach chaftu. Na ryc. 5 dajemy stojący z wygiętemi rogami kołnierzyk z chusteczką, ozdobiony rzucikiem kolorowym. Na ryc. 6 mamy kołnierzyk marynarski z blado-różowego zefiru, na podszewce z szyrtyngu, ozdobiony 5 cent. szeroką, stębnowaną pliską białą, na środku której jest przystębnowana pliska niebieska 2 cent. szeroka.



N. 16. Sukienka z fałdowaniem dla dziecka. Patrz ryc. 17.



N. 15. Deseń do wyszycia na futerale do r. 16 w N. 3.



N. 17. Sukienka z fałdowaniem. Patrz ryc. 16.



N. 18. Plecy do ryc. 29.





N. 19. Przód do ryc. 1 w N. 3.

N. 10. Deseń na pas do wałka pod głowę, do ryciny 9.



N. 22. Czepeczek z materyi, koronki i wstążki. Patrz ryc. 3.

Do oszycia wykroju i do wiązania, służy sznur biały z kwastami.

N. 7 — 8. Kokardy krawatowe ze wstążki w deseń różnokolorowy.

Wstążki w różnokolorowe desenie w guście tureckim lub perskim, odznaczające się miękkością i piękną mieszaniną kolorów, są teraz najmodniejsze na kokardy i krawaty.

N. 7. Kokarda z dwóch rodzajów wstążek.

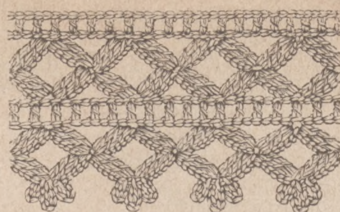
Krawatowa kokarda upięta jest z szerokiej wstążki tureckiej i z 3 centymetrowej wstążki z jednej strony szafirowej aksamitnej, z drugiej atłasowej blado-żółtej.

N. 8. Kokarda żabotowa ze wstążki i koronki.

Składa się z dwóch pukli i podwójnego węzła ze wstążki perskiej 10 c. szerokiej i na kawałku sztywnego tiulu naszytej w sposób wskazany na rycinie 8, fałdowanej 8 cent. szerokiej koronki.

N. 9 — 10. Wałek pod głowę, ozdobiony pasami haftu.

Mający 49 cent. długości a 36 obwodu, składa się z trzech pasów pluszu ciemno-bordo, z których środkowy miał 13 boczne po 8 cent. szerokości, i z dwóch 10 cent. szerokich pasów haftowanych na atłasie ciemno oliwkowym, filozelą jedno i dwu nitkową w 3 jasno oliwkowych cieniach. Rodzaje ściegów wskazane na deseniu ryc, 10. Sznur jedwabny i kwasty tego co plusz i filozela koloru.



N. 20. Koronka szydełkowa.

N. 11—12. Staniki wycięte do sukien balowych.

Na ryc. 11 widzimy stanik z jasnego repsu, z dwoma bawetami i niezbyt długą baskiną, zapinane z boku na białe metalowe guziki, ubrany 3 cent. szerokiem plisowaniem z tarlatanu; wykrój górny i krótkie rękawki ogarnirowane sutą falbanką na jednem ramieniu bukiet z kwiatów.



N. 24. Ubranie marynarskie dla dziewczynki. N. 25. Sukienka z długą kamizelką dla dziecka lat 2—3. Patrz ryc. 26. N. 27. Sukienka z vêtement dla dziewczynki lat 7—9. N. 26. Sukieneczka dla dziecka lat 2—3. Patrz ryc. 25.

N. 28. Ubranie spacerowe z długiem paletotowem vêtement. Patrz ryc. 18. N. 29. Ubranie wizytowe z frakowym stanikiem.



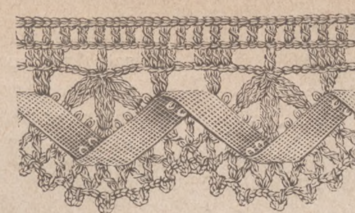
N, 32. Suknia z bawetowym stanikiem. N. 34. Suknia z bluzką. N. 33. Suknia jak na ryc. 32.



N. 35. Szlak wyszyty ściegiem łańcuszkowym i blaszkami złotemi.



N. 36. Szlak wyszyty krzyżykami i ściegiem jednakowym na dwie strony.



N. 21. Koronka szydełkowa z tasiemeczką.

N. 16—17. Sukienka dziecinna z fałdowaniem.

Obiedwie ryciny przedstawiają z przodu i z tyłu jednakową sukienkę z trochę odmiennym garnirunkiem. Model odrobiony był z materyału wełnianego w mieniącym kolorze ciemno-zielonym i bordo; do przybrania użyto ciemnego materyału w guście tureckim. Pod luźno wpadającą do figury sukienkę formą princesse, daje się muślinową podszewkę. Część dolna fałdowana na rycinie 16, zakończona jest w górze trzema pliskami 4 cent. szerokiemi z tureckiego materyału, zaś na ryc. 17 fałdy przyszyte są od spodu, do sukienki oszytej wypustką ze sznureczkiem.



N. 23. Czepeczek z jedwabnego bastu w deseń turecki. Patrz ryc. 2.



N. 30. Ubranie balowe z draperyą à panier. N. 31. Ubranie balowe ze stanikiem do paska.

N. 24—26. Ubrania dziecinne.

N. 24. Ubranie marynarskie dla małej dziewczynki.

Odrobione z niebieskiego kaszmiru, a ubrane aksamitem szafirowym i pletnią niebieską wełnianą. Pod aksamitnym marynarskim kołnierzem, związana na węzeł krawatka jedwabna. Bluzka zrobiona jest oddzielnie i przypięta do spódniczki. Drobno zmarszczona batystowa szmizetka, oszyta jest sutą falbanką.

N. 25 — 26. Ubranie z kamizelką i fałdowaną spódniczką dla dzieci lat 2—3.

Sukienka z materyału wełnianego ciemno-piaskowego na drobny deseń ma kaftaniczek zwierzchni zakończony atłasową wypustką i długą kamizelkę z niebieskiego atłasu w kolorowy rzucik, oszytą plisowaną koronką 3 cent. szeroką. U dołu plecków dodane bufowanie, przytrzymane trzema atłasowemi rozetami. Rycina 26 przedstawia takąż sukienkę z gładkiego materyału, wycięta kwadratowo z krótkiemi rękawkami, ogarnirowaną koronką u dołu i przy kaftaniku.



N. 37. Szlak do czapeczki męzkiej rycina 8 w N-rze 3.



N. 38. Wszyweczka wywiedziona na tiulu.

N. 27. Sukieneczka z vêtement dla dziewczynki lat 7—9.

Ma u dołu wolant 18 cent. szeroki z nagłówkiem kilka razy przemarszczanym; vêtement półwcinane, ma przody spięte kokardami, u dołu zakończone jest plisą aksamitną 13 cent. szeroką i podpięte w kilka fałd.



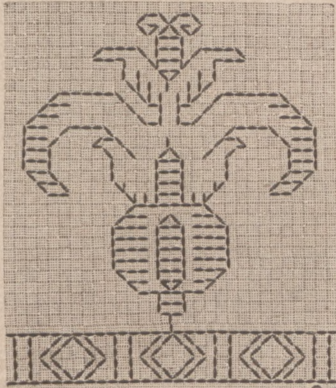
N. 40. Futeralik do grebyka. Patrz ryc. 41.



N. 41. Malowanie na drzewie do ryc. 40.

N, 28 Ubranie spacerowe z długiem paletotowem vêtement.

Suknia jedwabna ciemno granatowa; vêtement długie paletotowe skośno zapinane odrobione z granatowego aksamitu na ciepłej podszewce obszyte 10 cent. szeroką plisą z kotów morskich. Obłożenie futrzane z boków zachodzi aż do kieszeni; takież mankiety i mufka. Kapelusz granatowy aksamitny, podszyty i przybrany takimż atłasem i piórkami granatowemi.



N. 42. Deseń do ryciny 46.



N. 44. Deseń arabeski w szlaku poprzecznym do ryc. 46.

N. 29 i 18. Suknia wizytowa z frakowym stanikiem.

Ubranie wizytowe przedstawione z tyłu i z przodu na ryc. 29 i 18 wykończone jest z ciemno-bronzowego atłasu i tegoż koloru jedwabnego pluszu (peau de loutre) który jako sztywny można zastąpić pekinem lub półaksamitem. Spódnicę szyje się z taniego wełnianego materyału lub żagnotu, a na niej przyszywa u dołu plisowanie 9 centymetrów szerokie;; przód i boki przyszyte poprzecznie ułożonem fałdowaniem z atłasu, na który zachodzą części panier pluszowe u góry wszyte w pasek razem z suknią (lub na osobie pełniejsze zaczynające się przy brzegu stanika) z boku założone w głębokie fałdy, z tyłu zachodzące pod draperyę, upiętą z dwóch prostych pluszowych brytów po 180 cent. długich, z boków założonych w głębokie fałdy. Stanik frakowy którego szose podszyte materyą liczą 56 centym. długości, ma dodane części atłasowe, sznurowane z wierzchu bronzowym jedwabnym sznurem, liczące przy plecach 28 cent. długości a 10 szerokości u górz, z przodu zaś 18 centym. szerokie przy wykroju szyi a do dołu bawetowo zwężone; rękawy ozdobione w tenże sam sposób; na końcu sznurów grelotki szmuklerskie.

Podłużny prosty wykrój szyi dopełniony szmizetką ułożoną z plisowanej koronki i zakończoną u góry stojącym atłasowym kołnierzykiem. Kokardy z atłasu branego podwójnie.

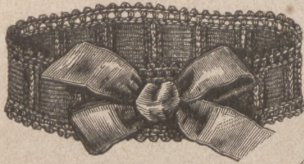
(d. n).



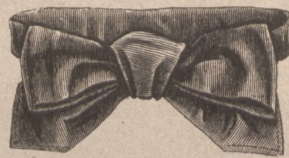


N. 39. Brzeżek wywiedziony na tiulu.

N. 43. Deseń do ryciny 46.



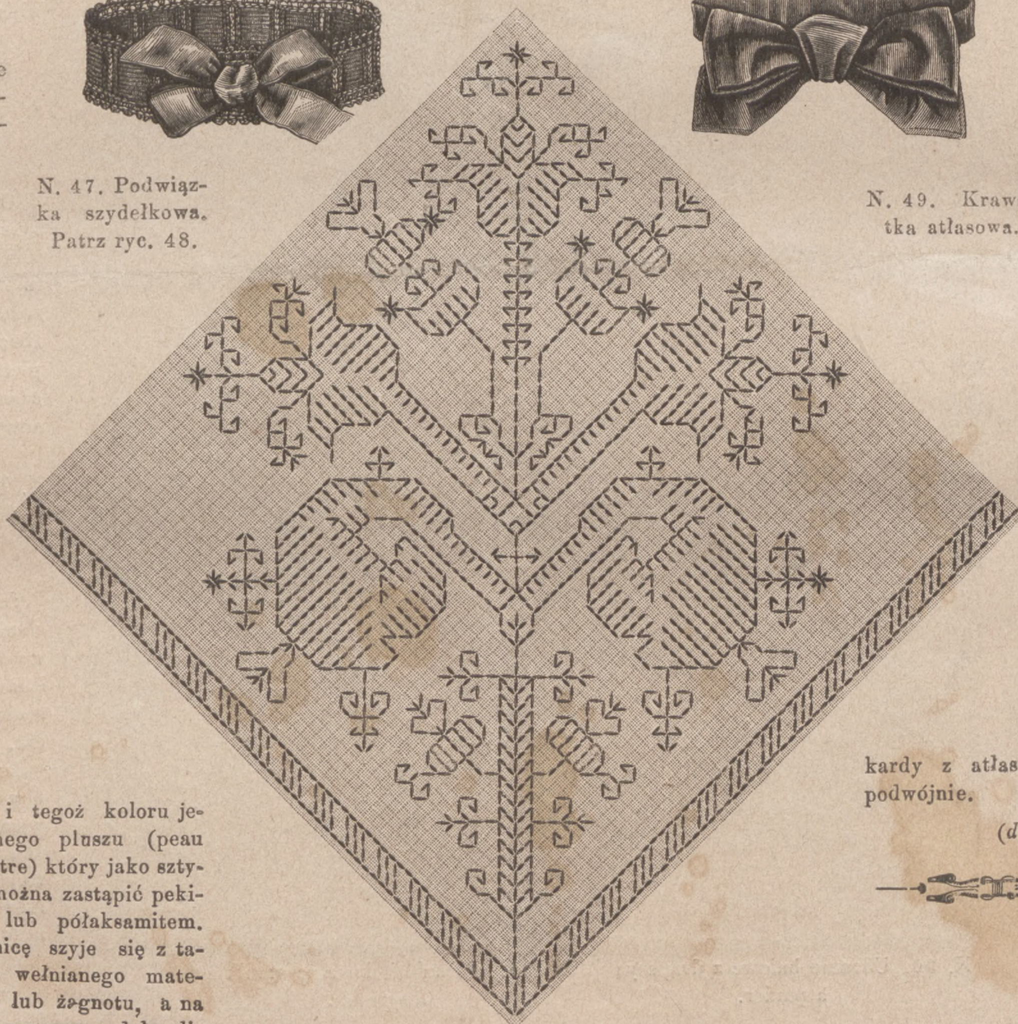
N. 47. Podwiązka szydełkowa. Patrz ryc. 48.



N. 49. Krawatka atłasowa.



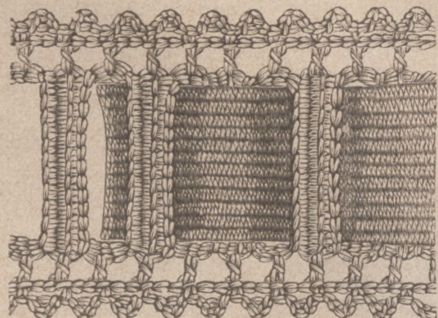
N. 50. Suknia dla panienki lat 12—15. Patrz rycina 51.



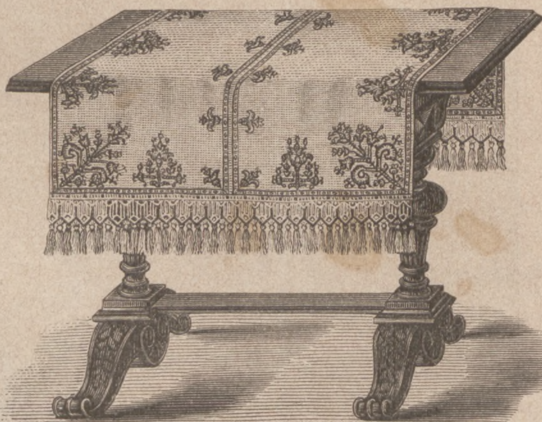
N. 45. Narożnik do ryc. 46.



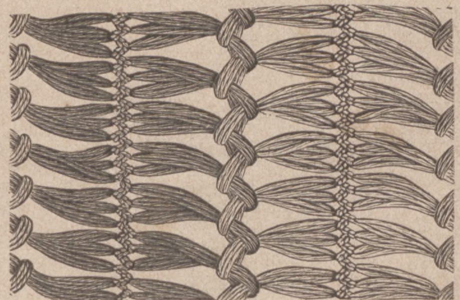
N. 51. Sukienka dla panienki lat 12 — 15. Patrz ryc. 50.



N. 48. Robota szydełkowa przewleczona elastyką do ryc. 47.



N. 46. Serweta wyszywana ściegiem jednakowym na dwie strony. Patrz ryc. 42—45.



N. 52. Robota na widełkach do ryciny 27 w N-rze 3.